MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 35 | WARSZAWA 20 SIERPNIA 1939 R | CENA NUMERU 80 GR

ZAGADNIENIE KULTURY WSI

II

JAK zatem widzimy, stan kultury wsi polskiej zarówno ziemiańskiej, jak też chłopskiej, nie może u nas budzić specjalnego entuzjazmu. Kultura polskiej wsi jest w rozkładzie, upadku i zastoju. Stan ten ma swoje liczne przyczyny. Najważniejsze to rozbiory Polski, częste i wielkie zniszczenia wojenne, rozkład i upadek cywilizacji polskiej i inne pomniejsze. Jednej przyczynie chciałbym się przypatrzeć szczegółowiej. Jest nią sprawa żydowska w Polsce. Sprawa ta jest jedną z najważniejszych przyczyn dzisiejszego opłakanego stanu kultury polskiej wsi. Żydzi na wielkich przestrzeniach Polski wbili się na duży okres czasu jakby klinem pomiędzy ziemiaństwo i chłopów. Była to warstwa karczmarzy, handlarzy zbożem, bydłem, lasami, faktorów, w ostatnich czasach adwokatów i lekarzy, bankierów i lichwiarzy. Liczna ta warstwa działała jako pewnego rodzaju trwała przegroda, niedopuszczająca ruchu trosk i idej pomiędzy temi dwoma tak bardzo ważnymi warstwami. Demoralizowano chłopa pod względem moralnym, niszczono go pod względem materialnym. Żydowskie karczmy odegrały tu znaną a smutną rolę. Dużo też zrobiły żydowskie sugestie w zakresie zradykalizowania chłopa polskiego. Sugestie te szły dawniej przez żydowskiego karczmarza, dziś zaś idą przez lewicowych działaczy pochodzenia żydowskiego, bądź to od żydów zależnych.

Najbardziej jednak zgubnie zaważyło na polskiej wsi zarówno chłopskiej, jak też ziemiańskiej opanowanie przez żydów miast w Polsce. Żydzi wytworzyli w miastach swoistą, żydowską, lub też polsko-żydowską kulturę miejską. Na skutek zmodernizowania środków lokomocji i porozumiewania się miasto to opanowało prawie w zupełności kulturę dzisiejszej wsi. A kultura ta jest nam zupełnie obca. Jako taka nie tylko nie podnosi ona kultury naszej wsi, ale raczej ją rozkłada. Rozkładająco działa ona nie tylko na chłopów, ale w pewnej mierze na polskie ziemiaństwo i na polską inteligencję wiejską.

Nie na tym jednak kończy się zgubny wpływ zażydzonego miasta. Działa ono destrukcyjnie jeszcze w ten sposób, że uniemożliwia chłopu polskiemu emigrację do miast. Chłop, nie mogąc wysyłać do miast nadmiaru swego przyrostu naturalnego, dzieli swe gospodarstwo na działki karłowate, podcina sobie możliwości życia i twórczości kulturalnej, oczywiście chłopu dostępnej. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest reforma rolna, względnie parcelacja majątków ziemskich. Przez opanowanie miast w Polsce uniemożliwiają Żydzi twórczość kulturalną zarówno chłopu, jak też ziemiaństwu. Trudno bowiem myśleć o istotnej pracy i rozwoju kulturalnym, jeśli nie posiada się niezbędnej podstawy materialnej, gospodarczej. Otuchą na przyszłość napawa akcja antyżydowska Stronnictwa Narodowego i idącego za nim w swej większości społeczeństwa polskiego. Akcja ta dokonuje historycznej wprost pracy, stwarza bowiem w naszych oczach polskie mieszczaństwo. Jeśli siły zwalczające tę akcję nie udaremnią jej, to już w krótkim zupełnie czasie odciąży ona wieś od materiału na wsi niepotrzebnego. Jeśli akcję antyżydowską uwieńczy skutek, to uwolni się zarówno działkę chłopską, jak też dwór ziemiański od naporu mas chłopskich, nie mających co z sobą w życiu zrobić. To dopiero umożliwi pracę, mającą na celu postęp kulturalny wsi.

Wychodząc z wyżej naprowadzonych stwierdzeń i założeń, muszę raz jeszcze podkreślić, że kulturę wsi należy traktować ze stanowiska narodowego, a nie klasowego. W związku z tym wysuwa się naczelny postulat odbudowy i podniesienia wszystkich członów społeczeństwa wiejskiego w Polsce.

Najpierw zacznę od zagadniesia ziemiańskiego, choćby z tego względu, że mówię na zjeździe

rolników z wyższym wykształceniem. Musi się podnieść kulturę ziemiańskiej warstwy w Polsce. Myślę, że nie będzie tego można zrobić bez zapewnienia ziemiaństwu jako warstwie pewnej przyszłości. Reforma rolna, radykalnie pojęta, zniszczyła całkowicie tę pewność. Żaden właściciel większej własności nie jest dziś pewny, choćby nawet dobrze gospodarzył i choćby stanowił ważny czynnik kulturalny, że nie rozparceluje się mu majątku. Reforma rolna stała się przecież nie tylko środkiem przebudowy społecznej, ale środkiem nacisku politycznego, środkiem trzymania ziemiaństwa w szeregach prorządowych. Jest to objaw wysoce szkodliwy, podrywający zarówno możliwości pracy kulturalnej, jak też niszczący autorytet ziemiaństwa. Do istotnej pracy kulturalnej, trzeba bezwzględnie pewnej dozy pewności posiadania, jak też wypływającej z niej niezależności. Myślę tedy, że należy skończyć z przymusową parcelacją. To, co istotnie musi być rozparcelowane, należy oddzielić od majątków, które mają pozostać. Ziemiaństwu musi się dać możność pracy na dłuższy okres czasu. Większa własność, nie dyskutuję tu wcale, jak wielka, w każdym razie, wyłączająca wielkie latyfundia, jest nam potrzebna nie tylko ze względów gospodarczych i wojskowych, ale także ze względów cywilizacyjnych. Musi ona być jednym z ważnych laboratoriów kulturalnych, z którego mogłyby wytwory kulturalne promieniować na cały naród, jak też przede wszystkim na chłopskich sąsiadów.

Ziemianie muszą sobie jednak ten wielki przywilej posiadania większej własności ziemskiej na nowo wywalczyć. Oczywiście w okresach wielkich ruchów masowych nie może to być jakaś walka wprost. Nie zrobią tego także na drodze kompromisu politycznego z każdorazowym rządem bez względu na to, co ten rząd reprezentuje. Ziemianie mogą się w Polsce utrzymać tylko wtedy, jeśli potrafią pozostać ważnym czynnikiem twórczym w dziedzinie właśnie cywilizacyjnej. Warstwa ziemiańska musi reprezentować wysokie walory kulturalne, aby móc się utrzymać. Wejście w szerokie masy narodu i rozpoczęcie szerszej pracy kulturalnej, nie może być odkładane na daleką metę. Albowiem dziś w gwałtownych zmaganiach przekształca się naród polski na naród pełny, naród posiadający swą własną warstwę mieszczańską. Jeżeli w tym historycznym procesie nie będzie polskiego ziemiaństwa, to przegra ono swoją stawkę życiową, jako warstwa. Stanie się to ze szkodą kulturalną narodu.

Jeśli idzie o postulaty w stosunku do poprawy stanu kulturalnego wsi chłopskiej, to trzeba tu umiejętnie sharmonizować trzy elementy podstawowe, to znaczy zamożność, oświatę i twórczość. Oczywiście na pierwszym miejscu należy postawić zasadę twórczości chłopskiej. Trzeba dostosować wszystko do tego postulatu. Twórczości sprzyja szereg czynników z dziedziny politycznej, ekonomicznej, oświatowej i religijnej. Cały ustrój społeczno-polityczny może tę twórczość albo potęgować, albo też ją krępować. Prywatna własność ziemi, chroniona od wyzysku, spekulacji i fiskalizmu bodaj najwięcej się nadaje do spotęgowania zarówno wytwórczości gospodarczej, jak też twórczości kulturalnej w ściślejszym tego wyrazu znaczeniu. W dziedzinie ekonomicznej musi się umożliwić chłopom przerwanie procesu rozdrabniania ziemi, a nawet rozpoczęcia procesu powiększania gospodarstw chłopskich. Bez tego nie można sobie wprost wyobrazić dostatecznego postępu kulturalnego wsi. Oczywiście nie należy tego robić drogą ustawodawczą np. przez zakaz działów majątkowych, jak to się stało w Niemczech, ale raczej drogą zmian stosunków gospodarczych, społecznych i politycznych. Najwięcej może tu zdziałać szybka i masowa emigracja żydów z Polski, oraz uprzemysłowienie kraju. Trzeba wreszcie w dziedzinie oświatowej zerwać z tak zwaną szkołą jednolitą, a zreformować wiejską szkołę powszechną w kierunku większego jej przystosowania do warunków życiowych chłopa. Szkoła wiejska powinna zasadniczo przystosować do życia na wsi, na roli, a nie do życia miejskiego, do gimnazjów, tak jak to próbuje robić dzisiaj.

Warunkiem rozwoju i usamodzielnienia się kultury polskiej wsi, jako całości, jest szybkie i zupełne, całkowite rozwiązanie kwestji żydowskiej na terenie całej Polski. Poprzednio już omówiłem jak i dlaczego żydzi dezorganizowali polską cywilizację. W pracy nad odżydzeniem kraju muszą wziąć udział wszystkie elementy składowe wsi polskiej. Nie może w niej zabraknąć ani ziemianina i chłopa, ani inteligenta wiejskiego i robotnika rolnego.

Wielkiej cywilizacji polskiej nie będzie można zbudować tylko na podstawach materialnych. Muszą jej przyświecać, dawać jej duchową podstawę, wielkie idee. Skuteczna praca kulturalna może się rozwijać tylko w klimacie pracy, poświęcenia i idealizmu. Nad polską cywilizacją musi pracować bardzo dużo mózgów i rąk, nawet jeśli ich właściciele nie będą z tej pracy mieć zbyt wielkich korzyści osobistych. Nastroje takie budzą tylko religia i miłość Ojczyzny. Stąd polska cywilizacja i kultura polskiej wsi w całym jej przekroju musi być budowana na podstawie religii katolickiej, oraz na podstawie polskiej idei narodowej. Te dwie wielkie i razem sprzężone idee mogą dać moc ducha, idealizm i poświęcenie, a wreszcie potrzebne, w naszych ciężkich politycznych i cywilizacyjnych warunkach, bohaterstwo, bez których wielkiej cywilizacji budować nie można.

Oprócz tych dwu wielkich idei wysunąć należy na jeden z pierwszych planów ideę wielkiej polskiej cywilizacji, jako ideału i programu pracy. Jak wiemy, dotychczasowa polska cywilizacja była cywilizacją, przystosowaną do trwania czy też przetrwania. Dziś trzeba nam wysunąć ideał cywilizacji dynamicznej, zdobywczej, imperialistycznej. Polska bowiem znalazła się w koniunkturze, wymagającej tego typu cywilizacji. Trzeba bowiem sobie uświadomić, że dziś stosunki cywilizacyjne w Europie zmieniają się bardzo zasadniczo. Do niedawna Europa przedstawiała pewną całość i, pominąwszy różnice narodowościowe, pewną jedność cywilizacyjną. Jedność ta opierała się na pierwiastkach chrześcijańskich. Dziś jedność ta bardzo poważnie się zarysowała, można powiedzieć, że jedność ta pękła i załamała się. Powstał najpierw nowy okręg cywilizacyjny, ograniczony państwem sowieckim. Okręg ten zerwał całkowicie z chrześcijańskimi pierwiastkami cywilizacyjnymi, a nawrócił do pierwiastków azjatycko-mongolskich. Analogiczne tendencje zaznaczają się w świecie germańskim, a szczególniej w Niemczech, I tam zrywa się z chrześcijańskimi pierwiastkami

cywilizacyjnymi, a nawraca do staropogańskich i wytwarza całkiem nowe.

Niesie to dla Polski najpierw pewne niebezpieczeństwa. Sprowadzają się one do tego przedewszystkim, że te nowe centra cywilizacyjne będą wykazywały tendencję do rozszerzania się na teren Polski i tutaj rozkładać mogą naszą rodzimą cywilizację. Niebezpieczeństwo powyższe nie jest jednak wielkie, jeśli się zważy, że Polska tworzy dość odrębny okręg cywilizacyjny, nawiązujący raczej do cywilizacyj południowych. Jest to rezultat bardzo starych wpływów cywilizacyjnych, idących oddawna z południa. Wpływy te były tak silne, że Polska cywilizacyjnie wygląda jakby półwysep południa na północy. Stąd to dochował się tylko u nas rzymski katolicyzm w całej swej rozciągłości, który dziś na skutek wyżej zaznaczonego załamania się jedności cywilizacyjnej Europy stał się czymś w rodzaju polskiej religii narodowej.

Ten stan rzeczy niesie ze sobą nie tylko same niebezpieczeństwa. Polska może z takiego obrotu spraw cywilizacji europejskiej wyciągnąć także poważne korzyści. Oto pomiędzy Rosją a Niemcami mieszkają nie tylko Polacy. Mieszka tam szereg ludów drobnych, które nie chcą się poddać wpływom obu wymienionych nowotworów cywilizacyjnych, ale nie będą mogły wytworzyć swojej własnej cywilizacji przez wzgląd na swoją słabość polityczną i cywilizacyjną. Myślę tu o Litwinach, Białorusinach, części Rusinów, Czechów ze Słowakami, wreszcie Łużyczanach i w pewnych warunkach politycznych części zgermanizowanych Słowian na Wschodzie Niemiec. Wszystkie te ludy mogą ulec polskim wpływom cywilizacyjnym.

Ważną rolę w tym procesie może odegrać podobieństwo kulturalne tych ludów do Polaków, wspólność wiary religijnej i pewna wspólność krwi. Jest to w gruncie rzeczy obszar geograficzny zbudowany z dość podobnego materiału rasowego. Na całym też prawie obszarze, wchodzącym w grę, jest dość dużo polskiej krwi, zwłaszcza w materiale ludowym. A ponieważ zasadniczym rysem naszej cywilizacji będzie w przyszłości pomimo wszystko pierwiastek chłopski, przeto cywilizacja polska będzie miała możliwości przyciągania tych drobnych ludów i odprysków ludów, które nie zechcą się poddać ani cywilizacji mongolsko-azjatyckiej, ani też niemiecko-germańskiej.

Żeby to jednak wogóle nastąpiło, to polska narodowa cywilizacja i kultura polskiej wsi musi być bardzo wysoka, jednolita, oryginalna i rodzima. Musi ona móc imponować i przyciągać. Naród polski musi wykrzesać w sobie ambicję stworzenia, a właściwie tylko odbudowania wielkiej polskiej cywilizacji narodowej. W jej ramach dopiero kultura wsi polskiej będzie mogła rozkwitnąć i tworzyć główną podstawę wielkiej narodowej cywilizacji.

Poznań.

KAROL STOJANOWSKI

GDAŃSKA POEZJA POLITYCZNA

Z CZASÓW NAJAZDU GUSTAWA ADOLFA

(Dokończenie)

MIAŁO się stać zadość życzeniu pieśniarza. Otrzeźwienie przyszło nadspodziewanie prędko.

Zwierciadłem zmiany nastrojów obywateli elbląskich jest „*Ein newes Gesang, worin Gustavi Adolphi aus Schweden ritterliche thaten gepreisset werden, gedichtet durch Einen Elbingischen Burger, welcher nicht mehr schwedisch*". Otóż to, już więcej nie szwedzki. A dlaczego informuje o tym dokładnie treść piosenki. Co najzabawniejsze, że serca elbląŻan odwróciły się od Gustawa Adolfa właśnie przedewszystkim ze względów religijnych. Ten oficjalny i zaprzysiężony protektor luteranizmu zraził sobie luleran elbląskich — i nie tylko ich — właśnie nieposzanowaniem ich uczuć religijnych.

Kirchenraub ist bey ihme kein sündt,
mechtig kan er auch streiten,
wieder die bildt-der Gottesfreundt
stürmt sie von allen seiten,

pisze sarkastycznie nawrócony na gdańską, a więc i polską wiarę polityczną zawiedziony elblążanin, który już „*nicht schwedisch ist*". Oburza go, że Szwedzi profanują cmentarze chrześcijańskie, obdzierają trupy z szat i kosztowności, że nie uszanowali nawet miejsca spoczynku zmarłego niedawno Szymona Rudnickiego, biskupa warmińskiego, powszechnie szanowanego dla swego świątobliwego życia nie tylko wśród ludności katolickiej, ale i protestanckiej. Wobec powyższego do codziennej praktyki szwedzkiej należy pozbawianie przez Szwedów pojmanych żołnierzy nieprzyjacielskich odzienia, zdzierstwo i łupiestwo ludności spokojnej.

Wojna legła ciężkim brzemieniem nie tylko na miastach, ale również na wsiach prowincji pruskiej, przede wszystkim na wsiach gdańskich, niszczonych w odwecie przez nieprzyjaciela.

Posiadamy pod tym względem interesujące wyznania w formie dwu utworów poetyckich: jedno ubrane w popularną trawestację Ojcze nasz („*Der Werderschen Bawren Vater unser vom Gustawo*"), drugie skomponowane w kształcie zwykłej piosenki („*Der Werderschen Bawren Klagesgesänglein*"): (Werder to połać kraju przylegająca do Gdańska od wschodu).

Oba te utwory są wyrazem pragnień rolnika prowincji gdańskiej, ale napisali je chyba mieszczanie gdańscy, biorący w opiekę pokrzywdzonych obywateli „rzeczypospolitej" gdańskiej. Na przypuszczenie to naprowadza wzmianka w jednym z nich, w której autor interesuje się specjaljalnie prowadzeniem handlu gdańskiego; nie bez znaczenie jest pod tym względem większa rutyna literacka, którą dysponują autorzy piosenek, rutyna, właściwa oświeconemu obywatelowi środowiska miejskiego.

Oba wiersze są bardzo szczere zarówno w treści merytorycznej, jak i w sposobie jej formułowania, dlatego też oba są instruujące dla naszych celów. Szweda się w nich poprostu, brutalnie nienawidzi za łamanie przysiąg i przyrzeczeń,

składanych przez niego przy obejmowaniu władzy w miastach pruskich i pomorskich. Polityka układnego, zręcznego, lecz z gruntu amoralnego Axela Oxenstjerna, kanclerza Gustawa Adolfa, musiała wkońcu zbankrutować w środowisku przyzwyczajonych do pewnej rzetelności kupców.

Als Gustavus erstlich in Preussen kam,
Ein heilige Gestalt er an sich nam,
Bildet auch männerlichen ein,
Das er von herczen wolte sein
Vater unser

czytamy w Ojcze nasz wieśniaków werderskich, podobnie jak w „Skardze", oczywiście w innym kształcie literackim.

To pierwszy ton uczuciowy obu utworów — ton, powiedzmy, zawodu.

Drugi nie jest już tak czysty i bezinterosowny w swym wyrazie.

Rządy przybłędy szwedzkiego uderzyły bardzo boleśnie gdańszczan po kieszeni, którym liberalne rządy polskie gwarantowały i dotrzymywały swobód, wolności, poszanowania wiary, kultury, obyczaju. Toteż w obu wierszach pełno skarg na swawole szwedzkie po śpiżarniach, stodołach, zwłaszcza zaś po oborach wieśniaków gdańskich. Gustaw Adolf figuruje w obu utworach pod plastycznym przezwiskiem „*Kuhdieb*", „złodzieja krów", a banda jego drapichrustów

Brennet, raubet undt stillt geldt, pferdt undt kuh
Undt schickt nach seinen schweden zu

z tym rezultatem, że Szwedzi w wyniku generalnych przenosin do Szwecji dobra gdańszan mogą sobie zorganizować składy tandety. Na tym jednak niekoniec, bo chłopi wederscy muszą pełnić uciążliwą służbę szarwarkową, płacić dodatkowe podatki (*that er ein pobor fellen*).

Stąd właśnie rodzi się trzeci moment uczuciowy — żal za grzechy polityczne, który przybiera taki wyrazisty charakter w poniższym urywku Ojcze nasz.

Ach, lieber Gott, lass dichs erbarmen,
Errette doch undt hilff uns armen,
Wende unser elendt, noth undt schmerczen,
Gancz newe undt getrewe herczen
gib uns heute

Auff das wir sämbtlich zugleich,
Beiderseits-arme undt Reiche,
Mögen ruffen mit einem munde:
Komme, rette uns, Sigismunde
undt vorgib uns

Den wir schändtlich werden betrogen:
Gustavus hat uns vorgelogen.
Ist nur derhalben Rauber dein,
Gustavus undt nicht allein
unser schuldt.

Trudno nie nazwać wzruszającymi tych słów oddania, z jakimi się zwracają gdańszczanie do Polski i króla polskiego w swej ciężkiej opresji szwedzkiej. Zygmunt III, „*der Edler Printz undt Herr*", „*der gerechte undt der fromme*", ma być w intencji i pragnieniach wierszopisów wybawicielem uciśnionej ludności spod jarzma szwedzkiego:

stehe dem Werder bey
Undt uns vom schwedischen Joh befrey.

Oczywiście, że i wojska swoje, wojska polskie, grasujące na zajętym przez nieprzyjaciela werderskim terenie, musiały się dawać we znaki ludności rolniczej. Wojna przecież żywiła wojnę, a zresztą żołnierz ówczesny wogóle do pościągliwych nie należał. Przechował się z tych czasów również anonimowy „Ojcze nasz chłopów werderskich przeciw Konfederatom", pełny wyrzekań na swawolnego żołnierza polskiego, zajętego w chałupie chłopskiej żarciem, w oborze — rabunkiem. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że nie ma w całym utworze żadnych akcentów, zasadniczo wrogich wojsku polskiemu, tym bardziej—Polsce. Karci się poprostu tylko swawolę żołnierską.

Całość rzutu retrospektywnego na charakter podbojów Gustawa Adolfa — z punktu widzenia gdańszczan — daje nam intermedium dramatyczne „*Triumph des Gustavi uber Preussen*", próba dość oryginalnego pod względem formalnym rozwiązania treści politycznej.

Zjawia się na scenie król szwedzki, oświadczając, że zdobył już całe Prusy; oglądamy obok niego na scenie owoce zwycięstw szwedzkich w postaci nieodzownych krów, koni, owiec, dzwonów kościelnych, jedwabi, lnu i wszelakiego innego dobra, zagrabionego ludności pomorskiej. Gustaw zapowiada butnie zabór całej Polski. Nagle przybywa z pola bitwy kulejący goniec. Z następującego potem dialogu między nim a królem dowiadujemy się o przebiegu działań wojennych na Pomorzu, kiedy na widowni wojny pojawił się hetman Koniecpolski. Dobór faktów rzeczywistych jest jednostronny, tendencyjny: gdańszczaninowi, autorowi widowiska dramatycznego, zależało na możliwie plastycznym uwydatnieniu klęsk oręża szwedzkiego. Widz otrzymuje informację o znanym już nam zwycięstwie puckim (29.III 27), walnym zwycięstwie polskim pod Hammersteinem (sławna „amersztyńska wiktoria z 16.IV 27), o wygranej morskiej bitwie polskiego admirała Dickmanna u cyplu Helu (28.XI 27), wreszcie o klęsce Gustawa Adolfa pod Gdańskiem. Relację o ostatnim wydarzeniu historycznym autor dialogu wkłada perfidnie w usta samego króla, naocznego świadka nieudanej przeprawy szwedzkiej przez Wisłę.

Nie na tym polega jednak wartość poetycka tego utworu, któremu brak niezbędnej plastyki epickiej w przedstawieniu wprowadzonych na scenę momentów batalistycznych. Wartość ta polega na liryzmie mimowoli sarkastycznych wyznań króla i gońca na temat kampanii szwedzkiej, które rzucają ujemne światło na króla szwedzkiego i ustalają zdecydowanie ujemną postawę gdańszczan wobec całej szwedzkiej awantury na polskim Pomorzu. Liryzm ten widoczny jest zwłaszcza w relacji gońca o bitwie hammersztyńskiej oraz w opowiadaniu Gustawa Adolfa o bitwie gdańskiej. Jeżeli dodamy do tego nieodzowne zresztą w podobnego rodzaju utworach efekty komiczne, służące poniżeniu postaci króla szwedzkiego w oczach widza, jak jego omdlewanie na wieść o klęskach szwedzkich, cucenie się octem, jak śmieszne wizje senne króla, w których widzi zagrabione przez siebie świnie, krowy, jak sen gońca, w którym widzi swego króla w piekle, delektującego się w towarzystwie generałów skradzionym winem frankońskim, otrzymamy utwór, którego cała treść, jak i techniczne chwyty dramatyczne

skierowane są ku jak najjaskrawszemu zobrazowaniu najazdu szwedzkiego i jego autorów z najmniej atrakcyjnej strony.

Uzupełnieniem dialogu jest jeszcze jedna rozmowa: „Rozmowa Szweda z gdańszczaninem", która stanowi jeszcze jedną dosadną, energiczną odprawę Szwedom ze strony Gdańska. Szwed próbuje, na razie argumentami pokojowymi, skłonić gdańszczan do oddania miasta królowi szwedzkiemu, wskazując na to, że i wśród gdańszczan jest sporo takich, którzy sprzyjają Gustawowi Adolfowi; w końcu grozi użyciem siły zbrojnej niezwyciężonego króla szwedzkiego. Interlokutor Szweda, ktory dopiero w trakcie rozmowy dekonspiruje się jako obywatel gdański, reprezentuje olbrzymią większość gdańszczan; łatwo replikuje Szwedowi, że zdrajcy znaleźć się mogą wszędzie, a więc i w Gdańsku. Miasto jednak nigdy się nie zgodzi na przyjęcie załogi szwedzkiej, ponieważ król Zygmunt III to jego „Schuczherr", któremu przysięgło „*trew undt eidt*". Przemocy szwedzkiej nie boi się, gdyż ma na swoich murach działa, a za murami—Polaków. W nich gdańszczanie pokładają nadzieje, oni dadzą radę Gustawowi, „*denn die Pohlen lassen ihn nicht entlauffen*".

Na tym kończę przegląd literatury, obrazującej moment najazdu szwedzkiego na Polskę w latach 1625—1929. Jest to przegląd celowo, choć nie tendencyjnie szczegółowy, chodziło mi bowiem w nim o możliwie dokładne zobrazowanie uczuć tej części ludności Polski, która w wyniku strategiczno-politycznych planów Gustawa Adolfa była skazana na wytrzymanie bezpośrednich ciężarów wojny. Była to ludność nadmorska Prus Zachodnich z Gdańskiem, przede wszystkim Gdańskiem, który się stał na całe lata wojny ośrodkiem działań wojennych Szwedów i przedmiotem ich bezustannej pożądliwości. Nic dziwnego, bowiem Gdańsk był zawsze w dziejach, jak i teraz, kluczową pozycją polskich posiadłości północnych.

Widzieliśmy, że poezja okolicznościowa tego okresu została skomponowana w języku niemieckim. Jest to jasne, ponieważ stworzyli ją gdańszczanie, którzy od wieków mówili i pisali w tym języku. Widzieliśmy również, jakiego rodzaju duchową rzeczywistość przekazuje nam ta poezja okolicznościowa: rzeczywistość w Gdańsku polską, ku Polsce nachyloną, łączącą z Polską swe nadzieje i przyszłość.

Pisało się wiele i pisze się teraz sporo o tym, że sympatje tradycyjne gdańskie ku Polsce wyrosły i trzymały się na gruncie interesów materialnych tego handlowego miasta, które swe kolosalne zasoby materialne zawdzięczało jedynie handlowi z Polską. Tak było niewątpliwie, jeżeli chodzi o pochodzenie pozytywnego stosunku Gdańska do Polski. W początkach wieku XVII ten pozytywny stosunek do kraju wszedł już gdańszczanom w krew, stał się ich przyzwyczajeniem, już dawno oderwawszy się od swego ekonomicznego podłoża, powiedzmy w tym stopniu, co miłość ojczyzny szlachcica ówczesnego, który pod Trzcianą bronił nie tylko polskiego spławu zboża do Gdańska, ale i całości swej Ojczyzny przed najazdem nieprzyjacielskim. Ci gdańszczanie, których postawę duchową wyobrażają uwzględnione utwory poetyckie, na gruncie gdańskim powstałe, mówią i piszą po niemiecku, ale w istocie są takimi samymi Polakami, jak mieszkańcy Krakowa czy dworów szlacheckich nad Notecią czy Szreniawą.

Miłość Gdańska ku Polsce, że użyję tego wyrazu, wysublimowała się.

Taka jest obiektywna wymowa tych miłych subiektywnych wytworów gdańskiej poezji okolicznościowej, z którą mieliśmy do czynienia.

Historyk, jeżeli chce zdobyć właściwe wyobrażenie o epoce, musi się czujnie przysłuchiwać tej wymowie.

Jeszcze słów parę o formalnej stronie omówionych utworów poetyckich. Była już o tym mowa przygodnie, w trakcie analizy utworów. Chodzi o podsumowanie wyników. Autorzy utworów okolicznościowych uciekają się do form, praktykowanych w poezji okolicznościowej od dawna. Pierwszą, najpospolitszą, jest forma zwykłej piosenki, dostosowanej w jednym wypadku do popularnej melodii ludowej. Są to utwory, pisane nie do recytacji, lecz do śpiewu. Są to utwory najlepsze pod względem artystycznym. Drugą formą i to bardzo plastyczną — jest Ojcze nasz — trawestacja tekstu religijnego, praktykowana w poezji politycznej jeszcze w w. XVI. Formy dialogu użyto dwukrotnie: w rozmowie oraz w charakterze utworu komediowego, sowizdrzalskiego. Wniosek stąd prosty, że analizowana okolicznościowa poezja gdańska jest wynikiem pracy ludzi obznajmionych z literaturą, świadomych rzemiosła literackiego, posiadających pewną kulturę literacką. Utwory takie, produkt twórczości indywidualnej, wychodziły w świat przeważnie anonimowo, jako dorobek całego społeczeństwa i jako wyraz dążeń i pragnień całego społeczeństwa. Ta właśnie okoliczność upoważnia nas do zakwalifikowania całej tej poezji politycznej, jako poezji ludowej, co się zaznaczyło już na początku studium niniejszego.

JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

„GŁOS ZIEMI SANDOMIERSKIEJ"

(WSPOMNIENIA Z 1901 ROKU)

Na jesieni roku 1899 przyjechałem do Krakowa, by objąć stanowisko asystenta przy katedrze uprawy roślin na Studium rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Halli, gdzie kończyłem studia, przyjęto mnie do Związku Młodzieży Polskiej. Zgłosiłem się też, przyjechawszy do Krakowa do Zygmunta Balickiego, który mieszkał na Dębnikach w domu nad Wisłą, wprost Zamku Królewskiego.

Zostałem wkrótce „Starszym Koła Braterskiego, poczym przyjęto mnie do Ligi Narodowej. Wziąłem też udział w pracach Ligi na gruncie krakowskim. Chodziło przedewszystkim o pomoc w wydawaniu i przewożeniu pism dla zaboru rosyjskiego. W Galicji Liga wówczas bezpośredniej roboty politycznej nie prowadziła, należeli też do niej głównie „emigranci" z Królestwa Polskiego. Z miejscowych w Krakowie należał, o ile pamię-

tam do Ligi tylko Włodzimierz Tetmajer.

Nadarzyła się jednak okazja wzięcia udziału w życiu miejscowym galicyjskim, przez pracę w wydawnictwie pisma dla powiatu Tarnobrzeskiego — „Głosu Ziemi Sandomierskiej". O tym chciałem tu właśnie opowiedzieć.

*

Powiat Tarnobrzeski, położony naprzeciw Sandomierza, odznacza się wśród powiatów Galicji Zachodniej większym poziomem kultury. Ziemie nadwiślańskie były urodzajne, wśród gospodarzy było dość dużo takich, którzy przywędrowali z za Wisły, z Królestwa, a więc byli bardziej przedsiębiorczy. Do takich przybyszów zaliczał się na przykład gospodarz Jan Słomka z Dzikowa, który w swych „Pamiętnikach" [1]) przedstawił w sposób dokładny i interesujący życie w powiecie Tarnobrzeskim. Dużo się przyczynił do ożywienia życia społecznego w powiecie tym adwokat osiadły w Tarnobrzegu dr. Antoni Surowiecki. Znalazł się też wybitny gospodarz Wojciech Wiącek z Machowa, który wraz z dr. Surowieckim brał udział we wszystkich pracach społecznych.

Między innymi z inicjatywy i przy udziale Wiącka urządzano w Radomyślu wielkie przedstawienie bitwy pod Racławicami i bitwy pod Grochowem — na błoniach przy udziale kilkuset młodych ludzi z całego powiatu. Na jedno z takich przedstawień zaproszono akademików z Krakowa. W większym gronie udali się tam członkowie grupy Związku Młodzieży Polskiej.

W ten sposób nawiązaliśmy stosunki z okolicą tarnobrzeską. Ja osobiście zbliżyłem się z Wojciechem Wiąckiem. Zwierzył mi się z projektu wydawania pisma w Tarnobrzegu, przyjechał w tej sprawie do Krakowa. Poznaliśmy go bliżej i w dniu 3 maja 1901 roku został przez Balickiego przyjęty do Ligi Narodowej. Zarówno Wiącek, jak dr. Surowiecki należeli do stronnictwa ludowego, lecz praca, którą przedsiębraliśmy, nie kłóciła się z polityką tego stronnictwa. Popławski, który wówczas był redaktorem dziennika „Wiek XX" we Lwowie, utrzymywał bliskie stosunki z Bolesławem Wysłouchem, założycielem Stronnictwa ludowego i głównym inicjatorem wyboru we Lwowie ludowca Jakuba Bojki.

Ułożyliśmy się z W. Wiąckiem w ten sposób, że on zbierał materiał w Tarnobrzegu i pisał sam artykuły, przesyłał to wszystko do Krakowa, a ja z tego robiłem numer „Głosu Ziemi Sandomierskiej".

*

Zaczęło pismo wychodzić 1 czerwca 1901 r., jako dwutygodnik, ukazujący się w sobotę po 1 i 15 każdego miesiąca. Jako wydawca i redaktor podpisywał Wojciech Wiącek. Drukowało się w Krakowie w drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego, tam gdzie „Polak" i wydawnictwa stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Pismo było niewielkie—4 czasem sześć stron dwuszpaltowych. Dawało artykuły społeczne, polityczne, rolnicze, ogrodnicze, przegląd p. t. „Z ziem polskich", kronikę wypadków światowych i miejscowych — tarnobrzeskich.

Przeglądając obecnie w bibliotece Rapperswilskiej pożółkłe kartki tego pisma, spotykam pod artykułami podpisy W. Wiącka, Jana Frankiewicza, gospodarza z pod Tarnobrzegu, Zdzisława Smidowicza, lustratora kółek, Jana Słomki, wójta z Dzikowa, Jana Mączki, moje (pod pseudonimem S. Bicz), różne listy do redakcji i t. p.

Odbijało się w „Głosie" życie pow. Tarnobrzeskiego, — pisano o strażach ogniowych o kółkach rolniczych, o tow. pożyczkowych, o szkołach ludowych, o handlu polskim i t. d.

Duże ożywienie wywołała inicjatywa postawienia w Tarnobrzegu pomnika Bartoszowi Głowackiemu—uformował się komitet w Tarnobrzegu, który ogłosił odezwę w Nr. z 15 października 1901 r., a później w każdym następnym numerze notowano listy składek. Pomnik stanął później w r. 1904.

Pomagałem W. Wiąckowi w redagowaniu pisma do końca r. 1901. Pomagał mi w tym Jan Słomka (syn wójta z Dzikowa) student uniwersytetu krakowskiego, członek Związku Młodzieży Polskiej, a od początku r. 1902 administrator przeniesionego ze Lwowa do Krakowa „Przeglądu Wszechpolskiego".

*

Na początku r. 1902 zaszły w wydawnictwie „Głosu Ziemi Sandomierskiej" komplikacje. Wyniknęły one z powodów dwojakiej natury — politycznych i finansowych.

W stronnictwie ludowym nie widziano chętnie tego, że „wszechpolacy", aczkolwiek nie byli wówczas odrębnym stronnictwem w Galicji, wchodzą w stosunki z mieszkańcami wsi w pow. Tarnobrzeskim. Byłem kilka razy w Tarnobrzegu w sprawach „Głosu", spotykałem się tam z posłami (pamiętam posła Krempę), stosunki — były poprawne, lecz bez zbytniej ufności ze strony urzędowych działaczy Stronnictwa Ludowego.

Wydawnictwo cierpiało na brak funduszów, bo prenumerata w jednym powiecie nie mogła kosztów opłacić. Dla oszczędności od nr. 12 (15.XI) przeniesiono druk do Tarnobrzega do drukarni W. Skrzyniarza. Wtedy wdał się w tę sprawę Mojżesz Kanarek, syn Rachmiela Kanarka, właściciela dóbr Skowierzyn w pow. Tarnobrzeskim.

Wiele majątków przeszło w Galicji w ręce żydowskie. Nabywca Skowierzyna był starym prawowiernym żydem, chodzącym w jarmułce i chałacie. Pamiętam jakiego niezwykłego wrażenia doznałem, gdy po przedstawieniu pod Radomyślem zaprosił nas „pan dziedzic" do Skowierzyna i gdy wyszedł na ganek szlacheckiego dworu wysoki żyd z siwą brodą w chałacie i w jarmułce. Nic podobnego nie zdarzyło mi się widzieć w Królestwie. Młody „dziedzic" był usposobienia postępowego, lecz dopóki żył ojciec nie zrzucał stroju żydowskiego. Potym zerwał z obyczajami żydowskimi. Miał zamiłowanie „szlacheckie", był komendantem miejscowej straży ogniowej, którą ufundował. Podawał się za „sympatyka" stronnictwa ludowego. W tym charakterze zajął się „Głosem". Pierwszy numer z dn. 4 stycznia roku 1902 wyszedł przy jego pomocy w zwiększonym formacie w drukarni Skrzyniarza w Tarnobrzegu. Potym przeniesiono druk do Krakowa — do Drukarni Narodowej, redakcją zaś zajęto się w... „Naprzodzie". Trwało to do nr. 7 (15.II). Przeglądając

---

[1]) Jan Słomka: „Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych". Nakł. Tow. Szkoły Ludowej w Krakowie.

teraz pismo, widzę że stopniowo wprowadzano ducha „postępowego“ i zaczęto się zajmować życzliwie zagadnieniami żydowskimi. Zjawiła się natomiast polemika z „Wiekiem XX“. Zjawiły się też notatki w tym rodzaju: „Na stacji w Zbydniowie— pisał korespondent opisujący obchód powstania styczniowego w Radomyślu — oczekiwali nas naczelnik straży pożarnej z Skowierzyna pan Mojżesz Kanarek i redaktor Wiącek z Tarnobrzega, oraz kilku naczelników gmin z okolicy. Przywitano nas i ulokowano na kilkunastu wozach i wózkach przysłanych przez właściciela dóbr z Skowierzyna, p. Rachmiela Kanarka, który nas do siebie zaprosił. W Skowierzynie przyjął nas p. Kanarek z rodziną bardzo serdecznie i poczęstował śniadaniem“...

Intermezzo „ludowe" z p. Mojżeszem trwało nieco długo. Pismo w nowej szacie nie przypadło do gustu ani redaktorom, ani czytelnikom. Powróciło tedy najprzód do drukarni Skrzyniarza, do Tarnobrzega, a od nr. 9 do drukarni Związkowej w Krakowie. Mnie już wtedy nie było, bo przeniosłem się po ukończeniu zimowego semestru 1901 — 1902 do Warszawy.

Nie zapomniał W. Wiąckowi swych niepowodzeń z „Głosem" Mojżesz Kanarek. Później, gdy Wiącek był posłem do parlamentu wiedeńskiego oskarżył go [1]), że wyzyskując swoje stosunki poselskie wyrabia koncesje szynkarskie żydom za pieniądze. Postawił dwóch fałszywych świadków Izraela Kropfa z Rozwadowa i Falika Goligera z Tarnopola. Rozprawa toczyła się na wiosnę r. 1911 w Tarnobrzegu. Wiącek sprawę wygrał, a fałszywi świadkowie zostali skazani przez trybunał w Rzeszowie za krzywoprzysięstwo. Najwyższy Trybunał w Wiedniu wyrok rzeszowski zatwierdził.

*

Od stycznia r. 1903 miejsce „Głosu Ziemi Sandomierskiej“ zajął tygodnik „Ojczyzna“ we Lwowie, później stał się organem ludowym stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Już w nr. 14 „Głosu“ (z dn. 1.VI 1902) znajduje się artykuł wstępny p. t. „Polityka narodowa" poświęcony „stronnictwu wszechpolskiemu", a w nim taki ustęp:

„W Galicji mają wszechpolacy trzy własne pisma miesięczne, najbardziej z pism tego rodzaju poczytne („Przegląg Wszechpolski", „Teka", „Polak"), z tych wydawany dla ludu „Polak" rozchodzi się w 7 tysiącach egzemplarzy, mają już gazetę codzienną „Słowo Polskie", a przedtym „Wiek XX". W tym duchu pisze też nasza gazeta".

Takie były początki działalności Demokracji Narodowej na wsi galicyjskiej. Było z pewnością w niejednym powiecie tak, że młodzież, która wchodziła do Związku Młodzieży Polskiej inicjowała stosunki między członkami Ligi a ludem wiejskim; pow. Tarnobrzeski zaznaczył się jednak tym, że posiadał pismo, które później, ustąpiło miejsca „Ojczyźnie", przy której narodzeniu był J. L. Popławski, a której redaktorem był Piotr Panek.

Czasy te wspominam z rozrzewnieniem. Poznałem środowisko rozwijającej się kultury ludowej. Poznałem szereg ludzi, którzy z całym oddaniem się i z całą wiarą pracowali dla przyszłej Polski, w pierwszym rzędzie dr. Antoniego Surowieckiego i Wojciecha Wiącka, którzy później znaleźli się w stronnictwie demokratyczno-narodowym.

STANISŁAW KOZICKI

[1]) Słomka „Pamiętniki", str. 328.

DUCH BŁĄKAJĄCY SIĘ

W JEDNEJ ze swych wcześniejszych sztuk, Maeterlinck przedstawia beznadziejne błądzenia grupy ślepców w ciemności. To ludzkość w poszukiwaniu niewiadomego. Przez długi okres swej twórczości filozoficzno-poetyckiej Maeterlinck nie zmienił zdania. Ślepy człowiek, po omacku szukający drogi swej w pełnym słońcu — takim jest sam autor „Ścieżek górskich", mimo swej mądrości i intuicji. „Eris palpans in meridie“ według słów Pisma św., które cytuje á propos drugiego wielkiego zabłąkanego, Rimbauda, Claudel. („Une Saison en Enfer et Arthur Rimbaud). Kto wie, czy ten upór, wola dumy i odszczepieństwa nie pochodzi od prądu symbolizmu, kiedy tak modną była romantyczna jeszcze koncepcja poety — tragicznego buntownika i poszukiwacza zakazanych dróg. Jak Manfred wywołuje duchy żywiołów, jak Prometeusz Schelley'a przeciwstawia się bogom, tak Rimbaud własnym realnym życiem wyłamuje się z kręgu praw, które zakreślają granice człowieczej doli, wpływ jego i podobnych artystów trwa do dziś. Maeterlinck pozuje na patriarchę wolnomyślicieli i nieraz poniża swoją myśl aż do taniej kokieterii sztuczek sofistycznych. Maeterlinck wchodzi do owczarni oknem, nie zaś drzwiami, mimo, że drzwi są szeroko otwarte. Co więcej, upór jego, niewiara, pewność siebie rosną z biegiem lat. Poeta „Niebieskiego Ptaka" miał wiele cech szczerej miłości do piękna rzeczy widzialnych i niewidzialnych, „Mądrość i Przeznaczenie" zawiera mniej zdumiewających i niesłychanie zarozumiałych twierdzeń, niż „Le Sablier" i obecnie wydana „La Grande Porte“.[1]) Zdaje się, że z wiekiem rośnie poczucie własnej ważności, nieomylności, mimo, że Maeterlinck dumny jest właśnie ze swych zwątpień.

„Nie wiemy nic" powtarza Maeterlinck na każdym kroku. Ale nie jest to sokratyczna niewiedza. Nie ma bowiem pokory. Ponieważ rozumem samym trudno coś pojąć w takich kwestiach, jakie myśliciel ten porusza: czasu, życia, przestrzeni, śmierci, przeznaczenia, istnienia Boga,—trzebaby mieć wiarę, nie składającą się z samych tylko pół-twierdzeń, pół-zwątpień. Takiej wiary Maeterlinck niema. Chrześcijaństwo zdaje się mu ograniczoną doktryną. Odrzuca bowiem pojmowanie świata w pokorze, i tę bezgraniczność obiawienia, jaka się otwiera oczom ludzkim jeśli łaska je oświeci. Człowiek jest sam wobec strasznej nie-

[1]) Maurice Maeterlinck „La Grande Porte“. Paris—Charpentier. 1939 str. 252.

wiadomej bytu, powiada Maeterlinck. Przeznaczenie, los zastępują mu Opatrzność. Nic dziwnego, że beznadziejność lub chłodny indyferentyzm często go ogarniają. Prawo sądzenia Boga i rozstrzygania swoim ludzkim zdaniem, jaką jest wina człowieka jeśli wszystko są dzieci według predestynacji, (wieczna wątpliwość co do zgodności wolnej woli z wszechwiedzą Bożą), uzurpuje sobie razem z wieloma innymi. Świat nie był stworzony, powiada Maeterlinck, bowiem wszystko istnieje od nieskończoności i nic nie może zaginąć ostatecznie. Jak może błąd, o którym zapominamy w ciągu krótkiego czasu, potępić nas na wieki? Zdawałoby się, że człowiek, który tak wiele wie o niezbadanych prądach, przepływających pod naszą rzeczywistością, nie będzie tak ślepy na wewnętrzne wartościowanie, intencję, jej ważność. Mnóstwo sprzeczności, słownych i znaczeniowych. wskazuje na zabłąkanie autora w duchowych bezdrożach. Na jednej stronie twierdzi że przypadek to tylko niezrozumiane we właściwym czasie zrządzenie Opatrzności, na drugiej—że Bóg zdaje się błądzić i żałować swych błędów, naprawiać je itd. Jednak książka zawiera, jak zawsze u Maeterlincka, wiele ciekawych perspektyw myślowych, zatrąca prawie o wszystkie zagadnienia metafizyczne, budzi rozważania na różne naukowe, a choćby pseudo-naukowe tematy (takie pseudo-naukowe są też nie do pogardzenia).

HELENA RADZIUKINASÓWNA

FRYDERYK CHOPIN

QUASI UNA FANTASIA

(Ciąg dalszy)

WYTYCZYĆ teraz trzeba granicę między Europą dawną i Europą nowoczesną, to znaczy między dobrem i złem.

Dosyć często narzeka się dzisiaj na świat nowoczesny i narzekanie to jest słuszne, ale narzekający nie widzą, że zło sięga bardzo daleko w przeszłość. Nierzadko słyszy się zdanie, że zło pochodzi od wojny i że panuje dzisiaj powojenna demoralizacja, ale to nie jest prawda, bo zło w Europie panuje daleko dawniej, niż od czasów wojny. Ludziom wydaje się, że wojna jest winna, ale wojna nie zrobiła nic tylko przyśpieszyła, jeśli można tak powiedzieć, nowoczesność, a nowoczesność przecie przychodzi i tak, przychodzi nieodparcie wraz z obracaniem się ziemi. Tak samo nie mają racji ci, co winę zwalają na kapitalizm, albo na socjalizm, albo na żydostwo, czy masonerję, bo to są tylko wszy i pasorzyty, które wyrosły na schorzeniu i upadku Europy i chociaż pasorzyty te winne być ukrócone z wielką bezwzględnością, bo jeszcze powiększają zło, to jednak samo przez się nie są one źródłem zła, lecz są jego objawem. Tutaj było napisane, że zło zaczyna się w Europie wówczas, gdy kończy się walka białą bronią i gdy kończy się rycerstwo. Jednak trudno jest określić dokładnie kiedy upadło rycerstwo. Można tylko powiedzieć, że rycerstwo upadło później niż w wieku XIV, czyli w wieku, w którym zaczęto proch stosować, bo potrzeba było dosyć dużo czasu na to, żeby broń palna udoskonaliła się na tyle, żeby stała się naprawdę skuteczna i wcześniej niż w roku 1789, czyli w roku, w którym uruchomiono gilotynę, bo zepsucie szlachty było już przed tą datą, bo oczywiście nie byłoby gilotyny, jeśliby pierwej nie było zepsucia i demoralizacji w salonach francuskich.[1]) Nie można określić ściśle, kiedy upadło w Europie rycerstwo, jednak ponieważ jeszcze w roku 1683 Europa dokonuje wielkiego czynu rycerskiego, który może równać się ze średniowiecznemi krucjatami, więc można przyjąć bez pretensji do ścisłości, że upadek rycerstwa przypada dopiero na wiek XVIII.

Trudno jest ustalić dokładnie, kiedy upadło w Europie rycerstwo, ale łatwo jest ustalić kiedy upadła sztuka, a według tego, czy jest sztuka, czy niema sztuki poznaje się, jak już było napisane, bez pomylenia się, czy świat jest dobry, czy zły. I oto sztuka plastyczna, a mianowicie malarstwo kończy się w Europie w początkach wieku XVII, bo trzeba uznać, że ostatnie dobre malarstwo w Europie jest to, tak zwana, szkoła wenecka, jakoteż z tegoż samego mniej więcej czasu malarstwo hiszpańskie i holenderskie. Muzyka natomiast, trzeba przyjąć, kończy się w Europie w roku 1827, bo rok ten jest to śmierć Beethovena. Można myśleć, że muzyka upadła później niż malarstwo dlatego, że świat wrażeń słuchowych jest już z natury swojej jakgdyby bliższy śmierci niż świat wrażeń wzrokowych, co można zaobserwować, jeśli nie przy umieraniu, to chociażby przy zasypianiu, kiedy pozostaje słyszenie jeszcze po utracie widzenia. Wszakże, nie analizując szczegółowo zagadnienia dlaczego upadek Europy we wszystkich jej składnikach nie nastąpił jednocześnie, trzeba tutaj stwierdzić, że granica oddzielająca dawną Europę od Europy nowoczesnej, czyli granica oddzielająca dobro od zła jest to linja łamana, która gdzie nie gdzie zbliża się do nas, a gdzie nie gdzie oddala się od nas. Historję Europy można wyobrazić sobie jako dwa pola: pole kolorowe, czyli Europa dawna i pole bezbarwne, czyli pustka i nicość Europy nowoczesnej i to pole kolorowe wchodzi granicą łamaną w pole bezbarwne. Jeszcze trzeba dodać, że na polu bezbarwnem odpowiadającem dzisiejszej pustce są plamki kolorowe, a na polu kolorowem oznaczającem dawną doskonałość leżą plamki bezbarwne, lecz te drugie leżą tylko w pobliżu granicy. Naprzykład w dziedzinie muzyki: gdzie nie gdzie w muzyce Chopina, czyli w muzyce leżącej po stronie zła, po stronie Europy nowoczesnej są fragmenty bardzo dobre i to więc zgodnie z powyższą symboliką wygląda jako plamy barwne na polu białem, a odwrotnie w muzyce Beethovena, a zwłaszcza w późnym okresie jego twórczości, czyli w muzyce leżącej po stronie dobra, po stronie Europy dawnej są rzeczy bezwartościowe i to analogicznie wygląda jako plamy białe na polu kolorowem. Plamy białe leżące po stronie kolorowej leżą, jak już było powiedziane, tylko w po-

[1]) Jako punkt orientacyjny dla określania czasu upadku rycerstwa europejskiego można przyjąć i datę rozbiorów Polski (która zresztą jest ta sama, co i rewolucji francuskiej), bo klęskę Polski można rozumieć jako klęskę szlachty — szlachty wogóle w spotkaniu z chłopstwem poborowem Fryderyka i Katarzyny.

bliżu granicy i nie są niczem innem, jak tylko antycypacją historyczną i mogą być wyobrażone nie jako plamy oderwane, lecz jako języki mające połączenie z poblizkiem polem bezbarwnem, natomiast plamy barwne na polu wyobrażającem Europę nowoczesną znajdują się nieraz bardzo daleko od granicy i nie mogą być rozumiane jako opóźnienie historyczne. Naprzykład jeszcze w końcu XIX wieku i nawet jeszcze dzisiaj w wieku XX jest gdzie nie gdzie trochę dobrego malarstwa w Europie zwłaszczą we Francji. Żeby zrozumieć, jak to może być, że jeszcze dzisiaj, czyli w trzysta lat po upadku malarstwa jest jeszcze gdzie nie gdzie trochę dobrego malarstwa, trzeba chyba przyjąć zasadę chyba prawdziwą, że ludzie zawsze, niezależnie od epoki zdolni są w pewnym małym stopniu tworzyć sztukę. Kto wie, może i w muzyce dzisiejszej znalazłoby się coś, co w pewnym stopniu nie byłoby pozbawione wartości. Ale to wszystko jest to właściwie szczegół bez znaczenia, bo ta sztuka dzisiejsza, jeśli i jest to jest zupełnie czemś innem niż sztuka dawna, która sobą epokę całą przenikała i nie można sztuki dzisiejszej wyobrażać sobie inaczej, tylko jako oderwane plamy kolorowe na polu pustem i bezbarwnem. I dlatego historja Europy nie wygląda inaczej, lecz wygląda właśnie tak, jak tu została zobrazowana, to znaczy, jako dwa pola, pole barwne i pole bezbarwne oddzielone od siebie granicą łamaną i można zlekceważyć te przytoczone tutaj szczegóły i istnienie tych plam po jednej i po drugiej stronie granicy i powiedzieć, że granica ta jest to granica rzeczywiście oddzielająca dobro od zła i że rzeczywiście po tamtej stronie granicy niema ani jednej rzeczy w sztuce, która byłaby zła, a po tej stronie granicy wogóle niema nic dobrego.

Falą Europa posuwa się z południowego zachodu na północny wschód, wszystko zaczęło się w Rzymie i wszystko wcześniej było w krajach południowozachodnich, a później w północnowschodnich. Naprzykład fala muzyki przenosi się na wiek XVII, XVIII i XIX z Włoch do Niemiec. I oto i wytyczenie granicy między dawną Europą i Europą nowoczesną, czyli między dobrem i złem trzeba uzupełnić i trzeba powiedzieć, że granica ta na południowym zachodzie przebiega trochę wcześniej, niż na północnym wschodzie. I jeśli podaje się tu jako datę upadku muzyki rok 1827, to rozumie się to jako datę ostatecznego upadku muzyki, muzyki w Europie, to znaczy jako datę upadku muzyki północnowschodniej, to znaczy muzyki niemieckiej. A jeśli podaje się tu jako datę ostatniego wielkiego czynu rycerskiego rok 1683, to rozumie się pod tem datę czynu rycerskiego północnowschodniego rycerstwa, to znaczy rycerstwa polskiego. Wprawdzie data gilotyny francuskiej, to znaczy data ostatecznego upadku rycerswa francuskiego, rycerstwa południowozachodniego zbiega się z datą rozbiorów Polski, to znaczy z datą ostatecznego upadku rycerstwa polskiego, czyli północnowschodniego, ale tłumaczy się to tem, że gilotyna świadczy mimo wszystko o większym upadku i większej słabości rycerstwa niż rozbiory, bo gilotyna była uruchomiona przez własną ludność, gdy rozbiory Polski mogą być też częściowo tłumaczone jako przemoc zewnętrzna.

LEON MACIAŃSKI

(C. d. n.)

LA FONTAINE

BAJKI

NA DWORZE LWA

(Fables VII, 7)

Jego Lwia Mość — Królewska chciał wiedzieć dokładnie,
Jakiemi narodami z łaski niebios władnie,
Więc na wszystkie państwa strony
Uniwersał śle okólny
W pieczęć króla opatrzony,
By wasalów tłum pospólny
Na królewski przybył dwór.
Jak manifest zapowiadał,
Cały miesiąc trwać miał zbór.
Jako wstęp do zgromadzenia
Suta miała być biesiada
I błazeńskie małpie psoty.
Chciał zaćmić oczy poddanej hołoty
Blaskiem swojej potęgi, przepychu i mienia.
Do luwru ich prosił w gości.
Co za luwr! istna rzeźnia! biły z niej wonności
Gościom w nos. Niedźwiedź przytykał obie dziury [w nosie.
Niebaczny, gdyż monarsze nie spodobało się
To kapryszenie, zaczem wpadłszy w furję wściekłą,
Wysłał go do Plutona, w wybredniejsze piekło.
Małpa, lizus nieznośny, chwaliła te jatki:
Słuszność i siłę pańskiego rankoru,
Świetność jaskini, rozkosz jej dworu:
Wszystkie ambry, wszystkie kwiatki
Śmierdzą przy nim jak czosnek. Ale złego losu
Doznała głupio chwaląc i padła od ciosu.
Król się nad nią nie rozczulał
Jak nad krewnym Kaligula.
Lis był w pobliżu. — A ty, rzekł satrapa,
— Czujesz co? Mów bez ogródek! —
Ale lis nie taki dudek:
Nos zaziębił, nie czuje i dręczy go sapa.
Ominęła go lwia łapa.
Niech ta dworakom nauczka służy:
Gdy chcecie być w zgodzie z panem,
Ni pochlebstwo, ni szczerość zysku wam nie wróży
Starajcie się wykręcić sianem.

PTASZNIK, JASTRZĄB I SKOWRONEK

(Fables VI, 15)

Tak często złych nieprawości
Są wymówką naszej złości,
Lecz świat tego prawa strzeże:
Chcesz, by ciebie oszczędzono, szczędź ty w równej [mierze.
Wieśniak przy zwierciadełku, które zwabia ptaki,
Założył sieć. Skowronek leci na przynętę.
Jastrząb, który podniebne przelatuje szlaki,
Nagle spada nad zagony
Na ptaszę, co byłoby tuż tuż w sieć ujęte.
Ptaszek sieci umknął żywy,
Lecz w jastrzębie wpadłszy szpony,
Poczuł w ciele ból dotkliwy.
A jastrząb, gdy skowronka oskubuje z pierza,
Sam się wplątał w nić więcierza:
— Ptaszniku, błaga, puść mnie z tych plecionek!
Tobiem w niczem nie zawinił! —
Ptasznik wręcz: A ten skowronek
Czy ci więcej zła uczynił?

Przełożył STANISŁAW KOMAR

NA WIDOWNI

Zamęt słowacki. — Pożądane publikacje. — Jak było z przeszłością Słowacji. — Węgry, Czechy i my na tym terenie. — Tatry są nasze.

W SPRAWIE słowackiej narobiło się u nas dużo niepotrzebnego mętliku, do którego walnie się przyczyniła wciąż jeszcze w umysłach mącąca czułostkowa atmosfera słowiańskiego pobratymstwa. W niektórych kołach zachowywano się wręcz tak jakby przyjaźń z małym i mało wartym ludkiem słowackim była dla nas jakimś prawdziwym zaszczytem. Nie rozumiano też zupełnie niewolniczej psychiki plemienia ceniącego jedynie przemoc i szukającego instynktownie czyjejś opieki. Nic więc dziwnego, że kosztowało nas to wszystko dużo zawodów i rozczarowań a odzyskana Jaworzyna nie stała się dla nas takim symbolem zwycięskiej radości, jak odzyskane Zaolzie.

Z prawdziwą więc przyjemnością wziąłem do ręki broszurę Jana Bielatowicza o „Przeszłości i przyszłości Słowacji", stawiającą sobie za cel właściwe ukształtowanie naszej opinii w tej sprawie. Niestety doznałem tutaj pewnego zawodu co z całą przyjacielską szczerością muszę tu zaznaczyć. Zamętu bowiem istniejącego w naszych głowach broszura ta bynajmniej nie rozproszy, a choć zawiera wiele cennych uwag i wniosków, nie brak w niej błędów i nieścisłości a ostateczne jej konkluzje są nieco zbyt jaskrawe i ich przyjęcie sprowadziłoby politykę polską na niezupełnie właściwe drogi. Nieprzemyślane i lekkomyślne kierunki ekspansji kosztują bowiem naród zazwyczaj zbyt drogo, by mógł sobie na nie pozwalać.

Sympatyczna w samym nastawieniu swoim książeczka reprezentuje ideę polskiego imperializmu w kierunku południowym co oczywiście z żadnym specjalnym sprzeciwem spotkać się nie może. Trzeba jednak postawić odrazu zastrzeżenia: pierwsze, że aneksja bynajmniej nie jest jedyną czy najlepszą formą ekspansji, a drugie, że argumenty jakimi operuje autor nie wolne są od błędów i nieścisłości, co oczywiście umniejsza ich moc dowodową.

Więc przede wszystkim twierdzenie, że kolonizacja polska „dotarła aż po Dunaj". Na czym ono jest oparte nie wiem, tymbardziej, że sam autor zapominając już o tym — woli na następnych stronicach polskość i jej wpływy językowe ograniczyć jedynie do Słowaczyzny Wschodniej. To co tutaj w tej mierze przytacza jest bardzo ciekawe i pożyteczne. Spisz, Orawa i Czadeckie to rzeczywiście polskie terytoria, których nie zapomnimy i których się nigdy nie wyrzekniemy. Dolina Jaworzyny i tych parę wsi któreśmy odzyskali to stanowczo za mało. Chodzi tu bowiem o dużo większe ziemie, za których przyłączeniem do nas przemawiają rozliczne argumenty etnograficzne, geograficzne i historyczne, obficie przytoczone przez autora.

Ale te argumenty odnoszą się jedynie do tego właśnie tarzańskiego terytorium, a nie do całej ziemi Słowaków. Należała wprawdzie ona kiedyś do Chrobrego, (w jakich granicach dobrze nawet nie wiadomo) ale już jego następca ją stracił i przez całe wieki historii polskiej nikt z naszych królów po nią nigdy nie sięgał, mimo że za pierwszych Jagiellonów ekspansja w kierunku południowym była zupełnie wyraźna. Ograniczono się wtedy tylko do zajęcia miast spiskich, choć napewno byłyby możliwości aneksji znacznie większych obszarów. I nie było to bynajmniej jakieś niedołęstwo, ale świadomy istotnych celów narodu umiar. Na karpackiej granicy kończyła się Polska i na południe szła zawsze w ścisłej współpracy z Węgrami. Oleśnicki, za którego ta ekspansja przybrała kierunek szczytowy zdobył dla Warneńczyka węgierską koronę. Mając stale otwarte granice od wschodu i zachodu — południe sobie Polska zabezpieczyła sojuszami, lub łączyła je z sobą w dążeniu do wspólnych celów. Łuk Karpat rozdzielał Słowiańszczyznę na dwie wyraźne części i oddając Polsce prymat nad północą, wszelkie jej marsze i wypady na południe uzależniał ściśle od zgody Węgier, zajmujących punkt strategicznie bezcenny. Dbała więc Polska zawsze o to, by ta twierdza węgierska nie była w rękach niepowołanych i często się wyprawiała osadzać tam i obalać królów, popierać, czy zwalczać różne powstania, wypędzać wreszcie Turków— ale nigdy w przeciągu całych stuleci nie toczyła z Węgrami wojny o jakąś ziemię. To też fantastycznie brzmi oświadczenie p. Bielatowicza, że po Chrobrym „nastał długi okres rywalizacji polsko-węgierskiej o ziemie słowackie". Rywalizacja polsko-węgierska była rzeczywiście w wiekach XIII i XIV ale tylko o Ruś, bo na to terytorium kierowała się ekspansja i jednego narodu i drugiego. Słowaczyzna jednak w ciągu całej swojej historii znajdowała się poza zasięgiem sporów polsko-węgierskich, stanowiąc jedynie teren walk polsko - węgierskich, toczonych o całkiem inne cele. Jeśli np. święty Kazimierz tu zajmował pewne grody walcząc z Maciejem, to bynajmniej nie miało to na celu zdobywania Słowaków dla Polski, ale zdobywanie całej korony węgierskiej dla Jagiellonów.

Równie wątpliwe wydają mi się i niektóre inne twierdzenia. Mówi więc kolega Bielatowicz, że orientacja proczeska „nie miała za sobą długiej historii". Tymczasem wpływy czeskie na słowaczyznę zanieśli jeszcze husyci, później umocniła je reformacja i w tym języku powstała cała skromniutka jej literatura. Gdy przyszło odrodzenie Czechy zabrały Słowakom jednostki tej miary co Kollar Palacky i Szafarzyk. Mało tego — nawet długo po ustaleniu się już odrębnego języka literackiego wahano się jeszcze i Hurban szereg swoich utworów napisał po czesku. Tak było mniejwięcej po lata osiemdziesiąte ubiegłego stulecia, a zaraz po nich przyszła ideologia czechosłowacka płomiennie wyznawana przez Kuczuczina, Hwiezdoslawa i innych. Była więc tu ciągłość wyraźna. Sławny Hwiezdoslaw posunął się nawet do tego, że nie dbał o narodowość swego szczepu, byle jego słowiańskość była utrzymana. To wszystko szło z Pragi i trudno zaprzeczyć, że te wpływy nie tylko były olbrzymie, ale były i dawne.

Trzeba też szczerze przyznać, że nasze wpływy nie tylko, że nie są „największe" jak głosi autor, ale zgoła najmniejsze. Daremnie je porównywać już nie tylko z węgierskimi, ale z czeskimi. Autor gromadzi tu wiele szczegółów bardzo cennych, ale odnoszących się niemal wyłącznie do Orawy, Spisza i sąsiednich okolic. A i tu jeszcze trzeba wyjaśnić pewne rzeczy. Najprzód więc tak

wychwalany Ścibor był wprawdzie Polakiem, ale był też i ulubieńcem Zygmunta Luksemburczyka przysięgłego wroga Polski, który nawet w dobie Grunwaldu najechał na nas, by robić dywersję dla krzyżaków, a dalej Jiskra nie był wcale Węgrem, ale Czechem husytą. Odpowiednio też wobec tego wyglądają i „knowania węgierskie", które spowodować miały klęskę pod Warną. Bo wogóle trochę humorystycznie brzmi twierdzenie, że „wpływy polskie na Słowaczyźnie kurczą się z powodu konieczności obrony przed Turkami i wykorzystywania tego faktu przez Węgrów". Przecież Węgry były o wiele bardziej zagrożone przez Turków niż Polska i nic absolutnie tu do wykorzystywania nie miały będąc same przez 150 lat w niewoli tureckiej. Już na 200 z górą lat przed Cecorą taran turecki bił w to państwo geograficznie i historycznie o wiele bliższe Bałkanu niż my.

Ale kończąc już tę dyskusję — jedno sobie przyznajmy. To właśnie co podniósł autor zamało może, nawet przez nieco podkreślone, że choć Słowaczyzna nie jest nasza — to Tatry w każdym razie całe są nasze. Nasza literatura wzięła te góry w niepodzielne panowanie. Odkryli je Staszic i Goszczyński, a hymn nieśmiertelny wyśpiewali im Kasprowicz i Tetmajer. Literatura węgierska tymczasem się od nich odwróciła i nie poświęciła im żadnego większego dzieła. Największy z węgierskich poetów wyraźnie pisał, że:

„Pyszne Karpaty w koronie świerkowej
Wasze uroki serca mi nie wzruszą,
W strome urwiska, w cieniste parowy,
Nigdy marzącą nie zbłąkam się duszą.

Milsza mi stepu przestrzeń niezmierzona;
Step mi ojczyzną, nie oddam go za nic;
Jak orzeł z gniazda, serce rwie się z łona,
Patrząc w widnokrąg, bez brzegu, bez granic".

O Tatry więc walczyć musimy, ale tylko o Tatry. To jest nasza granica życiowa i równocześnie historyczno-strategiczna. A nasza granica mocarstwowa o której pisze autor wcale nie leży na Dunaju. Do rozstrzygania o losach Środkowej Europy konieczne nam są Węgry, stojące za nami i tkwiące mocno w naszym systemacie. To właśnie dobrze rozumiał Kazimierz Wielki budując barierę przeciwko Niemcom, która zresztą zawiodła i Oleśnicki, a po nim wreszcie Kazimierz Jagiellończyk. Węgry w niewoli niemieckiej to osaczenie nas od południa, a wzięcie przez nas Słowaczyzny to tylko umocnienie tego stanu rzeczy i dobrowolne zagrodzenie sobie drogi na Bałkan. Była chwila, że Jagiellonowie panowali od Bałtyku do Czarnego Morza i Adriatyku i do tego trzeba powrócić, ale drogą nie są tu wcale aneksje, ale unie czy sojusze. Słowaczyzna nie może istnieć — to jest prawda. Ale też nadaje się nie do aneksji, ale podziału. Polska musi wziąść część swoją, Węgry jeszcze sporą część z koronacyjnym Pożoniem (rzekoma Bratysława) a reszta musi z wielu względów dostać się odrodzonemu państwu czeskiemu w myśl tych ważnych argumentów, które swego czasu przytaczał Dmowski, a których nadużycie w Wersalu wywołało tragiczną katastrofę.

KAROL STEFAN FRYCZ

WSZĘDZIE KWESTIA ŻYDOWSKA

„*JÜDISCHE Weltrundschau*" (Żydowski Przegląd Świata), tygodnik żydowski, wydawany w Palestynie, informuje w ostatnim numerze o ukazaniu się książki p. t. „*The shortest way with jews*", to znaczy „Najprostszy sposób na żydów". Autor, filosemita—anglik, Peter Harlow, występuje gorąco w obronie żydów przeciwko antysemityzmowi, starając się równocześnie znaleźć receptę na rozwiązanie tego zagadnienia.

Po długich wywodach, wykazujących sympatie autora do żydów, dochodzi on jednak do wniosku, że jedynym radykalnym sposobem rozwiązania sprawy żydowskiej raz na zawsze jest... usunięcie żydów, względnie doprowadzenie do zupełnego zaniku jako narodowości. W międzyczasie proponuje stosować wyrozumiałość i tolerancję.

Jak na filosemitę ze stemplem „*Jüdische Weltrundschau*", wniosek wprost doskonały. Okazuje się, że jest to uniwersalna recepta dla antysemitów i dla filosemitów i żydolubów: pozbyć się żydów.

Co zaś do tolerancji, to nawet „*Jüdische Weltrundschau*" ma wątpliwości i cytuje słowa superżyda Herzla: „Gdyby dali nam jakiś czas spokój! Ale wydaje mi się, że nam spokoju nie dadzą". Redaktor „*Weltrundschau*" robi przy tym ciekawą i trafną uwagę, która jest tym ciekawsza, że jest wypowiedziana przez żyda dla żydów: „Z pewną melancholią musimy podkreślić, że właśnie w tych krajach, gdzie asymilacja żydowska poczyniła największe postępy, a więc w Niemczech, w Italii i na Węgrzech antysemityzm wybucha z największą siłą i masy chrzczonych i „asymilowanych" żydów muszą wracać z powrotem do żydostwa.

Redaktor „*Jüdische Weltrundschau*" udaje zdziwienie, jakby nie wiedział, że zarówno superżyd Herzl jak i inni pisarze żydowscy już dawno ustalili i stwierdzili, że chrzest jest dla żyda prostą formalnością, robioną dla interesu i nie wywierającą żadnego wpływu na jego przynależność do narodu żydowskiego. „Czy murzyn przestaje być murzynem po ochrzczeniu?" zapytuje żyd Ben Chaim (*Juda erwache*). Po co więc udawać zdziwienie? Marani hiszpańscy dali nam poglądową lekcję. W Polsce mamy też dosyć takich polskich maranów, czekających na okazję, która ich w 1920 roku ominęła. Ale pracują pilnie i nie tracą nadziei.

Ostatnio umarł w Anglii jeden z takich chrzczonych i asymilowanych żydów: Sir Philip Sassoon. Był on, pomimo osiągniętych za pomocą pieniędzy wysokich godności, zawsze patriotą żydowskim i występował w obronie żydów, którzy go również uważali za jednego ze swoich. Dziad jego, Dawid Sassoon, miał kantor wymiany w Bombaju, stosował ściśle przepisy talmudu i tak się zbogacił, że jego syn Albert kupił sobie tytuł baroneta, a wnuk Edward ożenił się z córką „barona" Gustawa Rotschilda i pozwolił się bezgłowym goimom wybrać do parlamentu angielskiego. Idylliczne stosunki.

Pisarz żydowski N. H. Bialik miał rację, mówiąc: „Goimy kiedyś może się dowiedzą, że myśl żydowska przenika powoli, jak trucizna, w ich organizm państwowy". Czas już aby się o tym dowiedzieli i nad tym zastanowili. Jest to obowiązkiem każdego patrioty. (m).

O JĘZYKU POLSKIM W AMERYCE

KAŻDY z nas ma w pamięci „Wspomnienie z Maripozy“ Henryka Sienkiewicza: ową wzruszającą opowieść o starym polskim wychodźcy, Putramencie, który żyjąc przez lat dwadzieścia pomiędzy obcymi i nie spotykając rodaków, czytywał codzień Biblię w przekładzie ks. Wujka, „ażeby nie stał się niemym w języku ojców swoich“. Wynikiem tej ciągłej lektury była swoistego typu polszczyzna, zupełnie odrębna od tej, jaką podówczas mówiono w Starym Kraju; w każdym razie polszczyzna, ta zasługiwała na najwyższy szacunek nie tyle dla swej własnej odrębności, ile dzięki temu pełnemu miłości i trudów poświęceniu, z jakim była utrzymana czy zdobyta.

Ta Sienkiewiczowska opowieść, pisana jeszcze w zaraniu polskiego Wychodźtwa w Ameryce, nieraz się przypomina, gdy stykamy się w słowie czy piśmie z mową polską w tym to Nowym Kraju. Sześćdziesiąt lat z górą upłynęło od czasu, jak tu był Sienkiewicz (w r. 1876) i jak widząc zanikanie mowy polskiej w niektórych sferach wychodźczych, skłonny był w pewnych chwilach przewidywać rychłą zatratę żywiołu polskiego w Stanach Zjednoczonych. Upłynęło lat niewiele i sam Sienkiewicz z radością mógł potem zdanie swoje odwołać, świadcząc, że nie zamarł w nowym pokoleniu wychodźczym duch polski i język pradziadów. Warto kiedyś wykazać, ile w tym było niezaprzeczonej i olbrzymiej zasługi samego autora „Latarnika“, jego pism, które czytywane były w osadach polskich, przedrukowywane w polskich gazetach, rozgłosem swym dawały ludowi wychodźczemu tę pełną dumy świadomość, „że Polacy nie gęsi, że swój język mają“, co więcej: że jest to język wspaniały i piękny, w którym tworzą się wielkie i w całym świecie głośne dzieła literackie.

Ale było wiele jeszcze innych czynników, które sprawiły, że mowa polska w Stanach nie zamarła dotąd i przez wiele, wiele lat się tu jeszcze utrzyma. Czynnikiem takim było skupienie się ludu polskiego w silnych Organizacjach, liczących wiele tysięcy członków (Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Rzymsko katolickie, Związek Polek, Związek Klubów Małopolskich, Związek Podhalan, Związek Królewiaków i t. d,) nie mówiąc o wielu pomniejszych, ugruntowanych bądź na gruncie towarzyskim, bądź ideowym czy religijnym. Ważnym czynnikiem było skupienie się żywiołu polskiego w parafiach, przy których istniały i istnieją polskie szkoły dla dziatwy, niekiedy i dla podrastającej młodzieży. Prócz szkół takich istnieją jeszcze inne, na wyższym stopniu, jak kolegium Związkowe w Cambridge Springs, seminarium w Orchard Lake, Akademia św. Rodziny w Chicago i t. d. W kościołach i szkołach młodzież polska trzeciej i czwartej już generacji słyszy mowę polską na nabożeństwach, kazaniach, wykładach, śpiewa pieśni polskie, które najlepiej utrwalają brzmienie mowy ojczystej. Niezmiernie dużo do utrzymania tej mowy przyczyniają się gazety i inne czasopisma polskie, mniej już liczne niż dawniej, jednakże górujące liczbą ponad prasą amerykańską w innych językach poza angielskim. Prócz prasy są i wydawnictwa książkowe w języku polskim, o liczbie również wcale pokaźnej; liczne biblioteki polskie, z których niektóre mogą się poszczycić liczbą kilkunastu albo i dwudziestu tysięcy tomów, też spełniają dobrze swą rolę, a powstające tu ówdzie kluby Książki Polskiej świadczą, że potrzeba czytelnictwa w języku polskim bynajmniej nie ustaje.

Do zasilenia mowy polskiej w Ameryce przyczyniła się niemało wojna światowa, w której społeczeństwo Polsko-amerykańskie tak czynnie manifestowało swą łączność z Macierzą i podczas której wielu ochotników z Polonii przybyło na ziemię polską, by za Nią walczyć. Fakt powstania Państwa Polskiego i wzrost znaczenia Polski w świecie także sprawił, że niejeden z tych, co wpierw może wstydził się polskiej mowy i polskiego nazwiska, teraz przyznawać się począł śmiało i z dumą do jednego i drugiego. Ta mowa, która jest „jako pacierz co płacze i piorun co błyska“ i z którą „tylko jeden język Hellenów porównać się może“, stała się dla Polaków amerykańskich po wojnie światowej nie tylko przedmiotem rodzinnego i narodowego sentymentu, nie tylko przedmiotem podziwu i narzędziem stosownym do wyrażania myśli sprawniejszego znacznie niźli w sztywnej angielszczyźnie, ale stała się ponadto językiem o szerokim zastosowaniu praktycznym: jako mowa jednego z najsilniejszych państw Europy, mowa narodu jednego z najliczniejszych w świecie, mowa, której znaczenie jest ważne nietylko w ogólnej historii świata, ale i w dzisiejszych stosunkach kulturalnych, ekonomicznych czy politycznych.

W związku z tym zapotrzebowaniem wyłonił się nowy postulat: starania o wprowadzenie kursów polskiej mowy, historii i literatury do amerykańskich gimnazjów i innych szkół średnich (highschools) oraz na uczelniach wyższych uniwersyteckich. Dążyć do tego zaczęto z całą usilnością i wkrótce okazały się pomyślne rezultaty. Prócz istniejącej poprzednio (w Kalifornii) katedry literatur słowiańskich, chlubnie prowadzonej od ćwierćwiecza przez czcig. prof. Noyesa, powstały inne placówki uniwersyteckie, szerzące znajomość spraw polskich: a więc w *Columbia University* (prof. Coleman), w *Ann Arbor* (prof. Mitana), *Notre Dame Indiana* (ks. dr. Lisewski) Boston (prof. Nowak), *Norhwestern Univ.* (dr. Fox, dawniej prof. Mitana) i stworzona dzięki Polonii milwauckiej katedra w Stanowym Uniwersytecie Wisconsińskim; istniały też kursa na innych uniwersytetach, a czynione są i dalsze starania, z których najlepsze szanse ma, o ile mi wiadomo, stworzenie katedry polonistycznej na uniwersytecie Wayne w Detroit.

O przyczynach i pobudkach, dla których należy uczyć języka i spraw polskich w wyższych i średnich szkołach amerykańskich, oraz o korzyściach, jakie już z tego płyną, pisał obszerniej niestrudzony propagator polskiej kultury i zasłużony rzecznik współpracy kulturalnej polsko-amerykańskiej, prof. Stefan Mierzwa, w swych dwóch cennych i mądrych broszurkach: „O język polski w szkołach amerykańskich“ oraz *„Why Teach or Learn Polish“* (Fundacja Kościuszkowska, New York). Że pobudki te znalazły żywy oddźwięk w społeczeństwie polsko-amerykańskim, a zrozu-

mienie w szerszych sferach kulturalnych amerykańskich, dowodem może służyć wprowadzenie języka polskiego już w kilkudziesięciu szkołach średnich (*highschools*) amerykańskich, z tego aż w pięciu w samym obwodzie milwauckim. Z listów, jakie otrzymuję ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych, przekonywam się, że ta liczba wkrótce znacznie się powiększy i że już za lat kilka będzie około stu takich szkół średnich amerykańskich, w których język polski będzie wykładany jako jeden z wybieralnych języków nowoczesnych, na równi z dopuszczanymi poprzednio: francuskim, niemieckim, włoskim lub hiszpańskim.

Do niedawna uczenie języka polskiego w „*highschools*" amerykańskich utrudnione było jedną poważną przeszkodą: brakiem podręczników. Były coprawda dwa „podręczniki" (wydane wNiemczech), ale tak potworne pod każdym względem, że nauczyć się z nich choćby poprawnej wymowy polskiej, a cóż dopiero poprawnej polskiej mowy było zaiste cudem nad cudy. Autorem jednego z tych dziwolągów był niejaki p. Ssymank, niewiadomej proweniencji wedle nazwiska, w każdym razie nie znający należycie ani języka polskiego, ani angielskiego. Jaśniejsza była proweniencja niejakiego p. B. Manassewitcha, który (jak głoszą prospekty) był niesłychanym poliglotą, gdyż ułożył „jednobrzmiące" (uniform) podręczniki języków: polskiego, rosyjskiego, rumuńskiego i malajskiego... Nic też dziwnego, że polszczyzna użyta w jego „A Polisch Manual" przypomina trochę język rosyjski i rumuński, a może (nie znam się na tym) malajski; najwięcej jednak ma podobieństwa do polszczyzny z Nalewek. Gdy mnie autor zasypuje takimi zdaniami: „Pan potrzebujesz to widzieć„, „Pan musisz mówić często", „Jak to zwiesz po polsku?" „Rozumiesz Pan to co ja mówię?", niestety, muszę mu odpowiedzieć jego własnymi słowami: „Zwomituję, proszę mi podać miednicę".

Całe szczęście, że już młodzież polska w Ameryce nie potrzebuje inportować aż z Niemiec podobnych bezwartościowych bredni, skoro może się uczyć z podręczników znacznie mądrzejszych i staranniejszych, dostosowanych znacznie lepiej do jej potrzeb, a napisanych lepszą polszczyzną, z lepszym zrozumieniem spraw polskiej fonetyki i gramatyki.

Podręczników takich ukazało się aż cztery w ciągu niespełna dwóch lat, a ponadto przygotowane są do wydania dwa podręczniki już gotowe (prof. Colemana oraz dr. Królówny, lektorki jęz. polskiego w Pittsburgu).

Ze wspomnianych podręczników najwcześniejszym jest książka „*Essentials of Polisch*" (wydana przez Polski Związek Narodowy w Chicago), napisana przez dr. Pawła Foxa, a opatrzona przedmową przez wybitnego stylistę, prof. Tadeusza Mitanę. Podręcznik ten nie jest przeznaczony wyłącznie dla młodych; owszem, skorzystają z niego bardzo wiele ci, którzy zmuszeni są zdobywać znajomość języka polskiego dopiero w wieku starszym. Mając jednych i drugich na względzie, autor stara się nie przeciążać pamięci ucznia zbyt wielką ilością prawideł gramatycznych, ale od początku do końca prowadzi wykład metodą konwersacyjną, wychodząc od zdań jaknajprostszych, od przedmiotów spotykanych w życiu codziennym. Dopiero po przejściu takiej konwersacji jest miejsce na przegląd, zwięzły i przejrzysty, reguł gramatycznych. Polszczyzna w całej książce jest nietylko poprawna, ale też gładka i giętka, pełna żywości.

Podręcznik p. Jeremiego Bolanowskiego „*New Polisch Grammar*" (Milwaukee, drukiem „Nowin Polskich") odznacza się również tą ostatnią zaletą. Polszczyźnie tej książki nikt nie zdoła postawić poważnego zarzutu; conajwyżej tylko próbki wierszowanych przekładów, wprowadzone przez autora, nie wszędzie się udały. Cóż, nie każdemu dana jest ta „anielska miara", jak sztukę wierszowania nazywał Zygmunt Krasiński. Ale za to prozaiczne opowiadania w tej książce napisane są udatnie, z werwą i zajmująco. Opowiada autor o sprawach, jakie mogą zająć młodego Polaka amerykańskiego: a więc o Kościuszce, Pułaskim, generale Krzyżanowskim, Paderewskim (przydałby się jeszcze Sienkiewicz i Modrzejewska), a więc o ludziach, którzy związali polskość swoją z zasługami dla Stanów Zjednoczonych. Ale mówi też o polskich obyczajach, legendach, tradycjach, historii, a wszystko to ujęte w miłą formę pogawędki młodego ucznia z rodzicami, którzy jeszcze zachowali po swych ojcach żywe wspomnienie spraw „Starego kraju". Niewątpliwie dobrym pedagogiem just p. Bolanowski (uczy *w Bay View High School w Milwaukee*), a jako Polak z trzeciej już generacji wychodźczej, który jednak utrzymał i nadal krzewi ducha polskiego i polską mowę, godzien jest pod każdym względem wielkiego uznania. Dowodem wartości i aktualności jego podręcznika może być to, że właśnie przygotowuje się nowe jego wydanie.

(Dok. n.) JÓZEF BIRKENMAJER

NAUKA I LITERATURA

OPOWIADANIA SZLACHECKIE

„WIEŻA SPRAWIEDLIWOŚCI"

TRUDNY rodzaj noweli nie sprawia autorowi kłopotu. Niniejszy zbiór jest żywym tego dowodem. Zbiór przecież nie opowiadań historycznych, ani tak ulubionych w polskiej literaturze gawęd szlacheckich, ale nowel o dramatycznie piętrzącej się akcji.

Ostatnich kilka zdań w prawidłowo napisanej noweli zazwyczaj porządkuje rozmaitość psychiczną i zmysłową ukazanego skrawka życia, skupia uwagę na jednym, obranym punkcie wewnętrznego nastroju. Podobnie dzieje się u Gembarzewskiego [1]), ujmującego sens każdego urywka we wzorowej poincie.

Terenem jego ciekawości artystycznej jest przeszłość szlacheckiego, twardego plemienia mazurskiego, poezja tych równin środka Polski.

Nie należy dziś do najłatwiejszych zadań obranie w zwykłej narracji właściwego punktu widzenia wobec tylekroć już razy branej na warsztat literacki puścizny sarmackiego baroku. Gembarzewski miał tu przed sobą tradycję znakomitego tomu Piotra Chojnowskiego („O pięciu panach Sulerzyckich").

Dosyć duża rozpiętość czasu panuje między pierwszym i dalszemi epizodami. Z początku nie wyszliśmy jeszcze z okresu starodawnego obyczaju, jaki panował wśród szlachty mazurskiej gdzieś tam nad Liwcem, między Kałuszynem i Sokołowem. Twardy jak calizna skalna jest ten obyczaj.

---

[1]) Miłosz Gembarzewski: „Wieża sprawiedliwości". W-wa, 1938. Tow. wyd. „Rój". Str. 197.

Później dopiero zarysują się pęknięcia i społeczeństwo przestanie na nim fundować swą niepożytość. Narazie trwa on i jest piękny urodą dojrzałego kłosu.

W owych idyllicznych latach przestępca sam się zgłaszał po wyrok i wymiar należnej kary. Z własnej woli zasiadł *in fundo* w górnej „szlacheckiej“ wieży, przez nikogo bodaj nie strzeżony.

Stąd z za kraty górnego okienka dwa razy w tygodniu oglądał własny, ziemiański dobytek, przez pastuchów umyślnie przypędzany. Gdyż pańskie oko konia tuczy... Chudoba nie może zmarnieć.

Dwa lata i sześć niedziel przymusowej a dobrowolnej pokuty zbiegną niczem sen... Szlachcic, choć rapt jakiś popełnił, nie został wyjęty ze społeczności swojej braci. Nawet urzędu na kołku nie zawiesił. I roki sądowe, podsędkiem będąc, w wieży odprawuje, na co mu zezwolono, aby sprawiedliwość w tej okolicy nie cierpiała zwłoki.

I to jest właśnie kit społeczny, wewnętrzna więź w całym, rozległym i jakże braterskim, sąsiedztwie.

Poszanowanie prawa i ufność we własny i innych honor, silniejszy może niż nakaz tego prawa, to istotny fundament w duszy członka wielkiej szlacheckiej społeczności.

W noweli „Wieża sprawiedliwości“, obcujemy z psychiką raczej typową niż indywidualną, imć pan podsędka Zaliwskiego. Bohater, wskrzeszony z pożółkłych papierzysk sądowych, nie przestaje przecież szeleścić bibułą. Inaczej w opowieści o „urodzonym“ Habdank-Grzmuckim, namiętnym kochanku i zabójcy swego rywala, nieszczęsnym banicie z granic Rzeczypospolitej. Choć uporczywy refren: „a pod Guzowem zmieszała się krew z ołowiem“, ustawia scenę właściwej akcji gdzieś jakby w zaświatach, pomiędzy upiory i widma przeszłości, to jednak z całą łatwością wyobrazimy sobie dziedzica Guzowa między współczesnymi, zindywidualizowanymi ludźmi.

Nietylko wyciąć sylwetkę ze starej ryciny, ale i tchnąć w nią życie osobnicze, którego pod najgrubszą nawet patyną należy oczekiwać — to zadanie godne pisarza, nietylko zbieracza starych szpargałów i sztychów.

Już inne problemy pochłaniają uwagę autora w związku ze znacznie późniejszą, romansową epoką połowy ubiegłego stulecia, dla którego ideałem była melodramatyczna historia Damy Kameliowej i jej niewyżytego, jedynego wśród tylu, romansu. Zesznurowane usteczka tamtej „bladej pani“ szepcą z przestrogą—nie łam gałązeczek...,—bo zdeptany krzew miłosnych uniesień i wzajemnego oddania nie często odrasta. Albo też, jak różokrzew w zimie koszmarną pałubą i cierniami gałązek, straszy po nocach widmami wspomnień, stuka z uporem w szyby, napędzając wciąż jedną myśl i żal zapóźniony zmarnowanego życia i obumarłej w formalizmie duszy.

„Szarych", a przecież nieraz ciekawszych niż patentowani heroje, ludzi odgrzebuje autor spod pyłów archiwów miejskich i bibliotek zakonnych.

Z pewnością byłby to dobry, kto wie, czy i nie w nauczaniu historii ojczystej w szkole, sposób — takie przetasowywanie sylwetek i figur z przeszłości, którymi aż do znudzenia nieraz — wciąż tymi samymi — na codzień operujemy. Co jakiś czas nowa seria albo li też „transza" — jeśli kto woli.

W rzewliwej wielce historii o książce O. Samuela, konsultora *Collegium Scholarum Piarum*, poznajemy bliżej nieznanych nam ludzi, „świeżych" jeśli się tak można wyrazić o naszych praszczurach z doby Konarskiego.

Czasy niesłychanie ważne wyrastania w górę z deklasującej się majątkowo i politycznie szlachty, nowej zupełnie naonczas warstwy — inteligencji, już wrychle profesjonalnie uprawiającej zagon niedawnego ugoru. Rzadkie wciąż jeszcze tłocznie, pierwsze redakcje pism periodycznych, nieliczne książki, opatrywane w służebne dedykacje, wzamian hojnych dotacyj magnackich.

I z tego tła, nowego życia, z trudem przebijającego wśród zeskorupiałych zawałów i złomów, wyrasta dziwnie skupiona w wewnętrznym wyrazie postać cichego pijara, zakonnego autora, przełamującego w największym trudzie makaroniczną napuszoność ówczesnego języka, aby się stać zrozumialszym w swym zbożnym dziele — i dostępniejszym dla czytelnika, co kiedyś nadejdzie i zrozumie serdeczne udręki pisarza.

Jak żywe w tym miejscu stają przed oczyma, niewielkiego formatu, oprawne w skórę „ósemki", na szmacianym, bez drzewa papierze, szarym i bibulastym, z ciemniejszymi gruzełkami, z charakterystyczną typografią tłoczni O.O. Pijarów... Niepozorne z pozoru, ale o estetycznym kroju czcionki — i o właściwie nasilonym „świetle", dobrze skomponowane kolumny.

„Szarzy" napewno byli i są łyczkowie z nadnarwiańskiej stolicy czwaniącego się swymi tradycjami, niegdyś biskupiego i skargowskiego Pułtuska. Ale biły tam polskie, gorące serca, czułe, gdy trzeba było rzucić życie na szalę ojczyzny i jej bezpieczeństwa. „Nieznani żołnierze" tworzących się legionów Dąbrowskiego, zbuntowani przeciw zaborcy, *de iure* rokoszanie, ożywają w tej prostej, jakby na nutę „Dziewczę z Sącza", mieszczańskiej gawędzie.

Ot, gdyby dobrze poszukać — napewno znalazłoby się sporo takich, jak np. wójt Pyrz, niedawno oficjalnie uhonorowany — chłopów czy mieszczan. Przekonać dzisiejsze warstwy oddolne, nie—historyczne, o ich rzeczywistym związku z dawnością przedrozbiorową i zasłudze w dziejach dla dobra wspólnego — to cel stokrotnie owocujący z narodowego punktu widzenia, godzien, by zaprząc do niego najlepsze kadry młodych historyków-badaczy.

Ale cofnijmy się wstecz nieco, w wykwint i pustkę schyłkową polskiego rokoka, dziedziczącego krzepkie siły po niezepsutych, prostackich ojcach, kryjącego w modnych halsztukach i żabotach bycze, mazurskie karki, potężne figury w atłasowych, papuzich albo wiśniowych fraczkach. „Grzeczne występki" nie próżnowały jednak, kruszyły do cna w beznadziei zwątpienia najtęższe charaktery, jednostki obarczone nieraz wielką odpowiedzialnością za losy kraju po rycerskich i wspaniałych przodkach. Zdrowa do szpiku natura polska reagowała na truciznę powoli sączoną gwałtowną gorączką, w której się tyle zwaliło rodów, stopiło fortun i... tylu Doświadczyńskich nabrało gorzkiego rozumu... Po opustoszałych salach, wśród przyćmionych zwierciadeł, pod zagasłymi na zawsze „pająkami" błąka się do dziś niejedna zatracona dusza „farmazońska".

Nie brak i anegdoty o obrzędowym niejako porywaniu panny na żonę (pragnienie przygody w tych ludziach tkwiło nie słabsze chyba, niż w dzisiejszych zwycięzcach przestrzeni).

Finalnie wybrzmiewa współczesny już zupełnie „kawałek". Tłumaczy myśl główną i podaje *leitmotiv* cyklu. I dziś, w jasnym świetle słonecznym, w małym miasteczku można zobaczyć... nie byle kogo, bo mieszkańców Olimpu: Zeusa i Plutona. Trzeba tylko umieć patrzeć.

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

„POLSKA W PRACY“

NAKŁADEM wydawnictwa M. Arcta wyszły trzy tomy zbiorowego wydawnictwa p. t. „Polska w pracy". Książki wydane są prześlicznie, a graficznym układem kart tytułowych przypominają dzieła wydawane na początku ubiegłego wieku. Dotychczas wyszły następujące monografie.

Dr. Feliks Burdecki. „Opanowanie materii czyli książka o zdobyczach polskiej nauki w dziedzinie chemii i fizyki, astronomii i geofizyki, o polskich wynalazkach i inżynierach oraz o polskich pionierach lotnictwa". 188 str. 34 rotograwiury, 30 fotografii, 12 winiet i wykres. Cena 12 zł. w opr. 15 zł.

Autor w przedmowie stwierdza, że: „Inżynierowie polscy w szybkości orientacji technicznej, w umiejętności organizowania produkcji wcale, a wcale nie ustępują zagranicznym specom, w wielu nawet wypadkach wykazują się większymi zdolnościami. Śledząc dzieje wielkich wyczynów technicznych i naukowych na całej kuli ziemskiej, prawie wszędzie spotykamy nazwiska polskie lub słowiańskie. Możemy z otuchą patrzeć w przyszłość. Zegar świata wybił godzinę supremacji słowiańskiej myśli i słowiańskiej kultury”.

Inż. J. Ginsbert. „Drogi żelazne Rzeczypospolitej”. 168 str. 33 rotograwiury, 19 fotografii, 11 winiet, 5 tablic rysunków, 8 tablic sygnałów i mapa. Cena 12 zł. w opr. 15 zł.

„Podróżowanie z uśmiechem nie jest bynajmniej przywilejem bogaczy albo cudzoziemców” — słusznie stwierdza autor. Dużo w tym naszej własnej winy, że podróż koleją, która taką radością napełniała nas w dzieciństwie, dziś stała się źródłem prawdziwej udręki. Trudno! Sfilistrzeliśmy i dokucza nam wątroba. Sygnał pędzącej lokomotywy — ta jedyna w swoim rodzaju muzyka podróży — nie nasuwa już nam wizji dalekich gór i szumiących lasów. Ale autor, mimo wszystko, uwziął się, że nas pogodzi ze starym przyjacielem — pociągiem. Taki uparty „lokomotywofil”.

Stanisław Zadrożny. „Na gdyńskim szlaku“. 36 całostronnych rotograwiur, 27 fotografii, 4 winietki. Cena 12 zł. w opr. 15 zł.

Książkę Zadrożnego o polskiej marynarce handlowej czyta się jednym tchem, jak powieści Conrada. Przypomina zresztą jego „Zwierciadło morza”, dając dużo wiadomości o wszelkich sprawach z morzem związanych, jak: dzieje polskiej marynarki handlowej, budowa okrętów, rola żaglowców a parowców, pilotaż, port, transport i handel morski, hierarchia w marynarce handlowej, prawa i obowiązki kapitana, maklerstwo i asekuracja i t. d. Podziwiać należy talent autora, który potrafił tyle tematów zmieścić w szczupłych ramach książki, nie nużąc przy tym wcale czytelnika.

B. G.

DWIE ROCZNICE

)J. I. KRASZEWSKIEGO „POETA I ŚWIAT” (1839), P. B. SHELLEY'A „OBRONA POEZJI” (druk. 1840).

1.

W BIEŻĄCYM roku jubileuszowym J. Kraszewskiego, tego prawdziwego tytana pracy, nie od rzeczy będzie przypomnieć 100-lecie „Poety i Świata”, powieści, która była jednym z najbardziej bezpośrednich przeżyć autora. Powstała ona, jak sam Kraszewski mówi w przedmowie do wyd. III z r. 1872, pod świeżym wrażeniem studiów uniwersyteckich i młodego żywota idei, pojęć i aspiracyj, zwątpień i walki; nic dziwnego, że spotykamy w niej dużo śladów tego, co ówczesną duszę poety burzyło. Niedarmo bohaterem powieści — Gustaw. Nim całkowicie i bez reszty pióro swe poświęci służbie publicznej, gromadzeniu dobra moralnego narodu, nim rozżagwi swój słup ognisty, którym będzie przyświecał narodowi w niedoli i wydobywał zeń elementy twórcze, nim—jednym słowem—skrystalizuje w sobie pogląd na rolę społeczną dzieła wyobraźni, Kraszewski poda głębokiej analizie stosunek poety do świata i siebie samego... Dla Gustawa poezja to będzie jeszcze „rajska muzyka duszy, która unosi wysoko i do reszty odrywa od świata”... I jak kiedyś przed wiekami młodzieniec w poemacie Reja („Wizerunki”) poszukuje swego „ja” w zetknięciu się z najrozmaitszymi ludźmi i stanami, tak i w powieści Kraszewskiego Gustaw przeżywa najrozmaitsze sytuacje życiowe, aby dojść do przekonania, że bez woli nie ma żadnego czynu. I historia Gustawa to raczej psychopatologia typu twórcy, odwróconego od rzeczywistości i życia narodu. Całe płodne i twórcze życie Kraszewskiego było zaprzeczeniem typu Gustawowego. Kraszewski zdobył mądrość, która stoi na ziemi, ale której wierzchołek — w niebie.

2.

Sto lat niebawem (1940) minie od chwili, gdy pani Shelley wyda z rękopisu wiekopomną „Obronę poezji” swego męża. Poza Szekspirem uważają go Anglicy za największego poetę. Shelley pojmuje poezję jako zjawisko biologiczne, jako sok krążący wszędzie, we wszystkich życia objawach. Jest ono równocześnie zjawiskiem socjologicznym i psychologicznym. Życie i sztuka to są formy słowa poetyckiego. Dzięki poezji to, co nie istnieje, przechodzi w to, co istnieje. A więc poeci stają się twórcami państw prawodawcami społeczeństw i religij, zarówno jak twórcami epopej, liryki i dramatów. Można mówić o shelleyańskiej wizji świata teologicznej i teleologicznej. Podstawowa teoria funkcji poetyckiej jest do pewnego stopnia podobna do teorii J. B. Vica. Poezja nadaje rytm życiu. Ile razy ciepła fala krwi poetyckiej przepłynie przez arterie życia, ono wzrasta i pogłębia się. Jednym z najgłębszych punktów Shelleya to przekonanie o praktycznej doniosłości poezji. Duch poety realizując ciągle nowe formy, realizuje zawsze nową wiedzę. Podkreśla Shelley ustawicznie fakt integralności życia, które bez ustanku mieni się kwieciem wśród gry sił. Wielkie i trwałe interesy ludzkiego społeczeństwa stają się głównym kołem popędowym wysiłków intelektualnych; w następstwie tego, co jest ozdobą tylko, musi się podporządkować temu, co jest pożyteczne. Poezja daje treść i pożywienie życiu, duch poetycki staje się pierwszym motorem świata.

Najwyższe Shelley osiąga szczyty, gdy mówi o zachowaniu od zniszczenia tchnień boskich w człowieku. „Najniezawodniejszym heroldem, towarzyszem i budzicielem wielkiego narodu do działania błogosławionej zmiany w opiniach i instytucjach jest poezja. W takich epokach zachodzi nagromadzenie władzy pośredniczącej i odbierającej intensywne i namiętne koncepcje odnośnie do człowieka i natury. Osoby, w których znajduje się ta moc, mogą często mieć mały związek z tym duchem dobra, którego sami są sługami, jeśli się bada pewne części ich natury. Lecz nawet i wtedy, gdy go zaprzeczają i nadużywają, są zmuszani do służenia potędze, która siedzi na tronie ich własnej duszy... Poeci są to hierofanci nie dającego pojąć się natchnienia, zwierciadła gigantycznych cieniów, które przyszłość rzuca na teraźniejszość; słowa, które wyrażają to, czego oni nie rozumieją; trąby, które grają do bitwy i nie czują tego, jakie budzą natchnienie, wpływ, który żadnej sam nie podlega sile, lecz który sam porusza. Poeci są nieuznanymi prawodawcami świata”.

Wilno. JAN ŚWIERZOWICZ

KWITNĄCA GAŁĄŹ

Kwitnąca gałąź, Panie, była posłem
Twojej miłości, z której ja wyrosłem
I którą trwam.

Pocóż mi pragnąć górnego sklepienia,
Skoro zbyt wielki dla mnie gmach więzienia
Z kwitnących ram.

A gdy przeminął sen pierwszych uniesień,
Kiedy nadeszła smętnowłosa jesień, —
Czar kwiatu zgasł.

Lecz się nie smęci serce pełne żalu,
Bo wie, że kwiatom jasny blask opalu
Przywróci czas.

Bowiem nadejdzie taki dzień czerwcowy,
Gdy wszystkie kwiaty swoje jasne głowy
Podniosą znów.

Przeszłością będzie dla mnie gmach więzienia,
Które opuszczę, a z nim i wspomnienia
Minionych snów.

WIESŁAW PYREK

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.